



Numer 31 Je

16 grudnia 2015

Cena: 4zł



Słowo od redaktora

Drodzy Czytelnicy,

Biuletyn SKG, dzięki wspólnym staraniom naszego zespołu redakcyjnego, klubowiczów i kursantów, zyskuje kolejny numer. W tym wydaniu szczególnie bogato prezentuje się dział "SKG na świecie", w którym znajdziecie wybór relacji z wakacyjnych wojaży naszych klubowiczów. Aż dwie relacje opisują wyprawy w Alpy, są też migawki z podróży do Mongolii i nad Bajkał. Nadzwyczajnym wydarzeniem był wyjazd Magdy Czarneckiej na Spitsbergen - to kolejna szpilka zatknięta na mapie miejsc świata, do których dotarł Studencki Klub Górski. Oczywiście, nie brakuje także zapisów z przebiegu codziennego życia klubowego. Wyjątkowo liczny w tym roku XXXV KPG dostarczy Czytelnikom wglądu w kursówkowe wyjazdy, a starsi doświadczeniem klubowicze odkrywają nieco z historii SKG w artykule o tajemniczym KŚM. ... Życzę wszystkim miłej lektury - niech te teksty, pocztówki z naszych podróży po polskich Beskidach i odległych arktycznych morzach, otworzą w Waszej wyobraźni nowe szlaki, a być może dadzą też inspiracje do Waszych własnych wypraw, by odkryć nie tylko bliskie i dalekie góry, ale przede wszystkim swoje możliwości.

Stefania Ambroziak

Spis treści

Z Życia Klubu	3
Kalendarium V – XII 2015	3
Z pamiętnika kursanta	8
Relacja z pierwszej kursówki	8
Kursówkowe tiramisu z Księciem	12
Ostatni egzamin praktyczny	15
SKG na świecie	19
Nie tylko Beskidy, czyli o alpinizmie w wydaniu SKG	19
Spitsbergen marzeń	22
Sekcja Wysokogórska SKG w Alpach	23
Gdzie te góry?	27
Historie z dna szafy	30
Czy wiecie, że...	31
Do trzech razy sztuka	31
Trasy nie tylko na wczasy	32
Beskidzki Archipelag	32
Jak to drzewiej bywało	33
Who the f*** is KŚM?	34

Zespół redakcyjny w składzie:

- | | |
|---|---------------------------|
| • Stefania Ambroziak - Redaktor Naczelna, korekta | • Grzegorz Bokota - skład |
| • Ewelina Różańska - Wiceredaktor, korekta | |
| • Grzegorz Kaczmarek | • Magda Bojarska - skład |

Zdjęcie na okładce: Widok z drogi na Grossglocknera na Wysokie Taury. Fot. Magda Wierzbicka.

Kalendarium V – XII 2015

Ewelina Różańska

Ostatnim klubowym wydarzeniem, jakie odbyło się świeżo przed wydaniem 30 numeru Biuletynu, było Przejście Wiosenne, w którym udział wzięło 4 kursantów (2 z XXXIV KPG i 2 spadochroniarzy) oraz Strzelec jako instruktor. Choć Wiosenne ukończył jeden kursant (Damian Odo), spadochroniarze nie dali za wygraną i pewnego pięknego dnia Magda założyła Klub Wiecznego Kursanta (KWK), zrzeszający przedstawicieli tej klubowej frakcji, z członkami takiej klasy jak Paweł Nowakowski i Grzegorz Kaczmarek. Klub jest jednostką dość elitarną, jednak niosąc na swym garbie odpowiedni bagaż doświadczeń, możesz do niego dołączyć już dziś i Ty!

Maj upłynął tak błogo, że klubowi aktywiści rozplęnęli się w tej błogości i zrobili sobie przerwę od działań społecznych.

Dopiero w czerwcu nastał czas wspólnych inicjatyw. W długi weekend Bożego Ciała, 4–6 czerwca, Kursanci XXXIV KPG zorganizowali Rajdówkę w Beskid Śląski, która miała być pierwszą edycją otwartych wyjazdów ku zdobywaniu „Korony Beskidów”. Był to wyjazd autokarowo-górski, gdzie uczestnicy zwiedzali Bielsko-Białą, Żywiec i Szczyrk, zdobywali najwyższe szczyty w paśmie Beskidu Śląskiego (ku pamięci: Skrzyczne 1257 m n.p.m.) i Małego (Czupel 930 m n.p.m.) i podziwiali panoramę na Żywieckie z góry Żar. Wszyscy uznali ten wyjazd za bardzo udany. Równie udany był spływ kajakowy na rzece Elk organizowany w tym samym czasie przez Magdę „Malucha” Wierzbicką. Kilku klubowiczów zażywało wtedy prawdziwej Maluchowej sztuki relaksu, a kajak sam płynął...

W trzeci weekend czerwca (20–21) odbyła się długo oczekiwana Działkówka w Filipówce! Z nieocenioną pomocą Michała Wangrata zorganizowała ją na swojej działce Magda Czarnecka. Sam dojazd w to idylliczne miejsce dostarczył nam moc atrakcji, bo pięcioosobowa kobieca wyprawa rowerowa jechała śladami uwielbianego przez Polaków serialu „Ranczo”. Więc nie mogło się obyć bez odwiedzenia Jeruzala, pamiątkowych zdjęć na słynnej ławeczce pod sklepem i zakupu napoju alkoholowego Mamrot. W Filipówce, w ukrytej wśród wysokich, dojrzewających zbóż hacjendzie, z flagą SKG na dachu, gospodyni przyjęła gości niezwykle serdecznie. Był mistrz ceremonii obsługujący zmodyfikowane ognisko (grill), okupujący hamaki i leżaki kuracjusze, oraz sportowcy nie mogący się oderwać od frisbee, badmintona i piłki nożnej. Wieczorem zapłonęło prawdziwe ognisko, przy którym daliśmy się porwać śpiewankom przy gitarze w rękach Yetiego – jedyne go przedstawiciela osobników z epoki Dinozaurów. Działkówka była także okazją do pożegnania Magdy, która już za kilka dni miała udać się na 3-miesięczne wczasy do polskiej stacji badawczej na Spitsbergenie. O swoich wrażeniach z tej przygody Magda pisze w tym wydaniu Biuletynu.

Niespełna tydzień po Działkówce, reprezentacja młodego pokolenia wybrała się na Orawę na rozbijanie bazy namiotowej w Podwilku. W piątek 26 czerwca nastąpiła kulminacja prac transportowo-montażowych, w sobotę roboty znacznie ubyło, a niedziela – jak to już w Bo-

skim planie stworzenia zostało przewidziane – była dniem odpoczynku, czyli pójścia w góry, po obraniu azymutu na Policę. Każdy wieczór na bazie zwieńczony był ogniskiem dźwięcznym od gitarowych aranżacji piosenek turystycznych wykonywanych przez Jego Nadbazowość – Pawła Stanisławskiego.

Tym sposobem rozpoczął się sezon wakacyjny w Małej Łozie. Pomimo początkowych problemów ze znalezieniem bazowych, ci, którzy zdecydowali się na bazowanie, bardzo dobrze wspominają ten błogi czas odpoczynku z dala od miasta. Dlatego już teraz zachęcamy Was do spędzenia części swoich wakacji w Podwilku – naprawdę warto!



Dzik na Bazie.

Jeśli mowa o wakacjach, to nie może zabraknąć tu notki o Przejściu Letnim! Drugi wyjazd egzaminacyjny odbył się w dniach 10 – 24 lipca, docelowo w Rumunii, ale jadąc na nie z instruktorem Michałem Bekeyem, wręcz nie można było pominąć odwiedzenia Budapesztu i uroczystego zakończenia egzaminu w Tokaju. Relacja z tego wyjazdu znajduje się w tym numerze. W skrócie trzeba wspomnieć, że wyjazd należał do bardzo udanych, zarówno pod względem pogody (lampa niemal przez cały czas), gór (dzikie Karpaty Wschodnie – pasma Giughului i Hargita), uczestników (bardzo zgrana grupa i fajni waleci), jak i samych

wyników egzaminu, ponieważ wszyscy kursanci zaliczyli!



Ekipa na Przejściu Letnim w Rumunii.

Akcję Lato przywrócił w tym roku do łask Michał Pluta, który zorganizował wyprawę w malownicze pasma Świdowca i Czarnohory w dniach 18 lipca – 1 sierpnia.



Sekcja Wysokogórska w Wysokich Taurach.

Podczas wakacji wielu Klubowiczów wybrało się na wspólne wyprawy – i tak Sekcja Wysokogórska podzielona na dwie grupy pojechała w Alpy. Grupa męska w składzie Michał Wangrat, Marek Paleski, Paweł Nowakowski, Jakub Wichowski i Kamil Grycz weszli na szczyt Dachy Europy. Natomiast grupa mieszana z prezesem Sekcji Magdą „Maluchem” Wierzbicką, Olą Kołodziejczyk, Stefi Ambroziak i Michałem Stachurą, wspinali się w austriackich Wysokich Taurach.

Zgrana ekipa kirgiska spędziła miesiąc w podróży po Mongolii, docierając do niej koleją transsyberyjską i przemierzając się na miejscu wynajętym niezniszczalnym UAZ-em.

Także Grześ Kaczmarek zaserwował uczestnikom swoich wyjazdów moc górskich doświadczeń. Od 9 do 16 sierpnia prowadził trasę przez Bieszczady, Beskid Niski i Pogórze Laboreckie na wyjeździe „Beskidziada”. W dwa wrześniowe weekendy zorganizował także wyjazdy w Beskid Wyspowy – „Beskidzki Archipelag” (4–6) oraz „Muszyński Kres” w Beskidzie Sądeckim (12–14). Dzień Niepodległości okazał się doskonałą okazją, by znów skoczyć w góry – tym razem na „Zasański zagon”, czyli w Góry Sanocko – Turczańskie i Pogórze Przemyskie w dniach 11–13 listopada.

Relacje z wszystkich tych wakacyjnych wojaży znajdziecie na kartach tego numeru.



SKG w Mongolii!

Nie minęła jeszcze połowa wakacji, gdy Klubowicze poczuli, że nadszedł najwyższy czas, aby się spotkać. 1 sierpnia upał w ciągu dnia spędziliśmy w Parku Skaryszewskim na „Śniadaniu na trawie”, gdzie wśród zachłannych wieiórek delektowaliśmy się smakowitościami, na przemian spalając kalorie biegając za frisbee. Za to wieczorem nastąpiła mniej oficjalna część spotkania, kiedy nad Wisłą chłodziliśmy się winem.

Choć we wrześniu do rozpoczęcia roku akademickiego jeszcze daleka droga, a niektórzy dopiero wyprawiali się na urlopy – w Klubie jest to okres niezwykle pracowity. To czas promocji SKG, rozwieszania plakatów, działań na froncie facebookowym. To czas ustalania klubowych wydarzeń i dopinania szczegółów dotyczących ruszającego niebawem nowego kursu.

Jakże miłą odskocznia od tych ważnych obowiązków było spotkanie powakacyjne w niedzielę 4 października w Lasku na Bemowie! W atmosferze ogniska, pyszności (myślę, że postać Marty Sikory jest już Wam znana), gry we frisbee i gitarowania (prym wiodła niczym wygrzebana z mułu perła – Paulina Kocot, która na Przejściu Letnim przestała być krypto i przypominała sobie, jak świetnie idzie jej gra na gitarze).



Bieszczadzką wąskotorówką na Zerówce.

W międzyczasie 5 września klubowa delegacja złożona z Malucha, Eweliny Różańskiej, Pauliny i Maćka Szubo-Hammera była świadkami ślubu Łazarza Kapaona

(serdecznego kolegi tejże delegacji z XXXII KPG) i jego wybranki serca Kasi, w Rzekuniu pod Ostrołęką. Który Klubowicz następny? ☺

Od 18 do 26 września w Beskidzie Niskim i Bieszczadach przed rozpoczęciem roku akademickiego w czasie Zerówki akumulatory ładowała grupa prowadzona przez przewodników Michała Plutę i Michała Wangrata.

Październik jest chyba najgorętszym okresem na świecie! Bulgoce wtedy jak w garze z wodą na herbatę. W każdy weekend w SKG coś się działo. W pierwszy weekend – już wspomniane spotkanie powakacyjne. 10–11 października był debiutem dla świeżych przewodników na praktyce, organizujących wspólnie z Michałami Plutą i Wangratem Rajd Jesienny w Masywie Śnieżnika. Wreszcie SKG pojechało w Sudety! – ucieszyli się wszyscy. Przewodnicy wytyczyli łącznie 7 tras: *Wędrowanie ze Sztuką relaksu czyli Maluch zaprasza na Śnieżnik* – Magdy Wierzbickiej, *W kierunku „Szwajcarii” i źródeł Nysy Kłodzkiej* – Pauliny Kocot, *Sudecki Snaefell* – Eweliny Różańskiej, *Dwa w jednym* – Michała Pluty, *Od czeskiej strony* – Grześka Bokoty, *W poszukiwaniu sudeckich skarbów* – Michała Wangrata oraz *Panoramuj i zejź pod ziemię z „Niedźwiedziem”* – Janusza Paczesnego. Góry i schronisko Śnieżnik im. Jacka Fastnachta wypełniły się turystami z Warszawy. Wszystkie grupy spędziły wieczór razem, integrując się w pękającej w szwach sali, gdzie rozbrzmiewały gitary przewodników – Pauliny i Janusza, oraz uczestnika Przemka. Z okazji urodzin Paulina otrzymała od zgromadzonych serdeczne *Sto lat!* Przed 7 rano co bardziej zmotywowani wybrali się na wschód słońca na górujący nad schroniskiem Śnieżnik. Wschód nie należał do tych najbardziej imponujących, jednak wszyscy uczestnicy byli z siebie dumni, że tak wcześnie wstali, czego z całą pewnością nie zrobiliby, gdyby byli sami. Nie ma to jak presja grupy.



Rajd Jesienny. Grupa Michała Wangrata.

Dwa kolejne weekendy 17–18 oraz 24–25 października upłynęły pod znakiem Manewrów Nizinnych, których organizacją zajęli się szczęśliwcy, którzy zaliczyli Letnie, oraz nieocenieni pomocnicy, bez których Manewry by się po prostu nie udały! Pierwszy termin nadzorowały Paulina i Ewelina, drugi – męski team składający się z Grześka Bokoty, Michała Stachury i Janusza Paczesnego. Warto wspomnieć, że dwaj pierwsi zostali jeszcze podczas Letniego mianowani przez Michała Bekeya na terytorium pań-

stwa węgierskiego do pełnienia obowiązków jako nowa Komisja Kursu. Manewry były liczne, a komisja kwalifikująca uczestników wyjątkowo łaskawa, co oznacza drodzy Kursanci, że pokładamy w Was nadzieję.



I termin Manewrów.

Tak, nieubłaganie dochodzimy do momentu rozpoczęcia wykładów (w tym roku odbywają się na Wydziale Historii UW) oraz kursówek! Pierwsza została poprowadzona przez instruktorów Tomka Wekseja i Grażynę Chlebicką w Beskidzie Sądeckim w dniach 7–8 listopada. Pojechało na nią niewyobrażalnie dużo kursantów! Wszystkie „ochy” i „achy” kursantki Pauliny Ploch, pierwszy raz biorącej udział w kursówce, możecie przeczytać na łamachzymanego w Waszych dłoniach numeru.

W tym samym czasie odbył się rajd Malucha na Babią Górę o wpadającym w ucho tytule *Maluchowy Rajd z Bohaterami Gór Wysokich*, na którym oprócz zdobywania najwyższego szczytu Beskidu Żywieckiego, Magda pokazała uczestnikom Centrum Górskie Korona Ziemi w Zawoi, oraz wieczorem w schronisku Markowe Szczawiny do późnej nocy opowiadała o historii polskiego himalaizmu i wyświetlała filmy o tej tematyce, dzieląc się swoją górską pasją. Nie jest więc niczym dziwnym, że rajd spotkał się z bardzo pozytywnym przyjęciem uczestników, o czym świadczy bardzo udane spotkanie porajdowe i deklaracje uczestników wzięcia udziału w kolejnym wyjeździe organizowanym przez Malucha.



Rajd Maluchowy. Na szczycie Babiej.

Jeśli o rajdach listopadowych mowa, także przewodniczka na praktyce – Ola Kołodziejczyk – zorganizowała w weekend 21–22 listopada rajd w Gorcach. Z relacji Oli (bardzo zadowolonej z rajdu): „mówiłam im <uczestnikom>, żeby zabrali ciepłe rzeczy i buty górskie, bo może być śnieg, a oni tego nie zrobili, i było mnóstwo śniegu. Ale i tak się cieszyli – ze wszystkiego. Szliśmy całą trasę szlakiem papieskim, więc co i rusz na drzewach, słupach z oznaczeniem szlaków i w schroniskach natrafialiśmy na obrazki z Janem Pawłem II ze słowami *Idziemy na Turbacz!*, co stało się i naszym hasłem przewodnim.”



Idziemy na Turbacz! Rajd Oli w Gorcach.

Odbiegając na chwilę od życia klubowego, trzeba przywołać dwie daty – 17 października, kiedy to Klubowiczka Magda Bojarska wyjechała do Kanady rozwijać swoje umiejętności w dziedzinie informatyki, oraz 26 listopada, ponieważ tego dnia Klubowicze Jędrzek Witkowski i Mikołaj Brzeziński wyjechali w półroczną podróż do Ameryki Południowej!

Wracając do wyjazdów kursowych, druga kursówka w dniach 14–15 listopada miała miejsce w Beskidzie Wyspowym. Także i w niej udział wzięło ponad 20 kursantów, przez co została podzielona na dwie grupy – jedna nadzorowana przez Michała Bekeya i instruktora na praktyce – Maćka Szubo-Hammera oraz druga – poprowadzona przez Pawła Marciniaka.



II kursówka.

Jednak zachłystnięci urokiem kursówek kursanci zrobili sobie przerwę, dzięki czemu trzecia kursówka miała

dość kameralny charakter. Poprowadzili ją Michał Strzelczyk i Marek Paleski w zachodniej części Beskidu Niskiego w weekend 21–22 listopada.

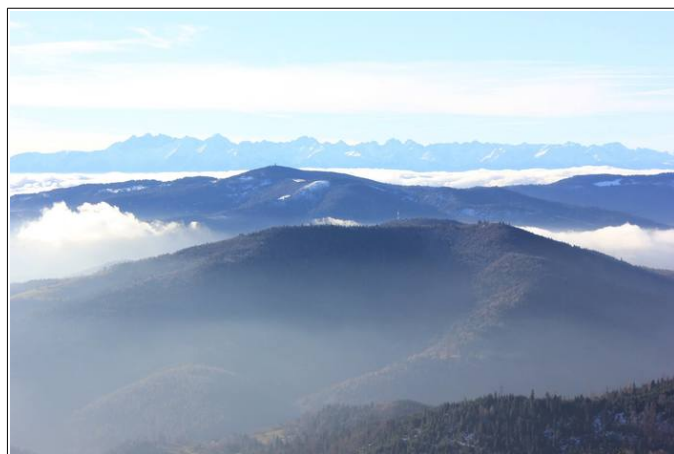


III kursówka. Pierwsze tchnienie zimy.

Nowy boom kursanckiej braci nastąpił podczas czwartej kursówki, również w Beskidzie Niskim (tym razem we wschodniej części), zorganizowanej w dniach 28–29 listopada przez Martę Cobel-Tokarską, Jędrka Ochremiaka i Gościę Staroń (która koniec końców zrezygnowała z wyjazdu).

Piąta kursówka w dniach 5–6 grudnia to wyjazd na pogranicze Beskidu Niskiego i Sądeckiego z „Księciem” tj. instruktorem Pawłem Góreckim. Wybitnie dało się na niej zauważyć postępujący trend w SKG, tzw. waletyzm, ponieważ na kursówkę pojechało 4 waletów. Relację z tego wyjazdu autorstwa kursantki, Asi Beredy, możecie przeczytać w tym numerze.

W tym samym czasie odbywał się Rajd Mikołajkowy zorganizowany błyskawicznie przez Panią Prezes Paulinę Kocot, która pojechawszy w roli waleta na kursówkę z Pawłem Marciniakiem, nabrała nowej energii do kontynuowania działań na froncie praktyki przewodnickiej. Zainspirowana urokiem Beskidu Wyspowego, trasę swojego rajdu poprowadziła przez Mogielicę, Ówlin i Lubomir, na którym grupa zwiedzała obserwatorium astronomiczne. Wisienkami na torcie była utrzymująca się przez cały weekend słoneczna pogoda, przepiękny widok na Tatry, oraz górskie upominki mikołajkowe.



Rajd Mikołajkowy. Widok na Tatry.

Ostatnia w tym roku szósta kursówka w weekend 12–13 grudnia pojechała znowu w Beskid Niski (rejon zachodni) z instruktorem Wojtkiem Szypułą.



Szósta kursówka.

A o tym czy siódma kursówka dojdzie do skutku i w jakim terminie, dowiecie się już w kolejnym numerze Biuletynu, ponieważ przed wydrukiem niniejszego jeszcze trwały ustalenia.

Jak każdego roku w grudniu, SKG dzielnie pomagało przy organizacji 12. Warszawskiego Przeglądu Filmów Górskich w kinie Wisła organizowanego przez zaprzyjaź-

nione wydawnictwo Annapurna między 10 a 13 grudnia.

Co przed nami?

- Sylwester SKG w Karpaczu w dniach 28 grudnia – 2 stycznia 2016
- Wyjazd Sekcji Wysokogórskiej (w składzie: Magda “Maluch” Wierzbicka, Magda Czarnecka i Michał Wangrat) do Argentyny i zdobycie Aconcagui (6962 m n.p.m.) – trzymamy kciuki!
- Karnawałówka 23 stycznia
- Zimowy Kurs Turystyki Wysokogórskiej w lutym i marcu
- Rajd Wielkanocny 12–13 marca
- Majówka w Bieszczadach Wysokich organizowana przez Paulinę Kocot 30 kwietnia – 3 maja

Musicie też wiedzieć, że w 2016 roku świętujemy JUBILEUSZ 40–LECIA Studenckiego Klubu Górskiego. Z tej okazji odbędzie się wiele imprez i wyjazdów, o których Zarząd będzie Was sukcesywnie informował. Już teraz rezerwujcie sobie weekend 25–26 czerwca na wielkie jubileuszowe wielopokoleniowe ognisko na bazie namiotowej w Podwilku oraz weekend 8–9 października na Rajd Jubileuszowy z ześrodkowaniem w Schronisku na Durbaszcze. ■

Relacja z pierwszej kursówki

Paulina Ploch

Komu w drogę temu czas

Godzina: 22:15, miejsce: Plac Bankowy – zbiórka. Szczerze mówiąc tak „późna” godzina to jak dla mnie idealny czas na spanie, nie zaś na początek niezwyklej przygody. Docieram na miejsce o dziwo ani trochę śpiąca, co więcej przepełniona dobrym humorem. Jesteśmy już wszyscy w komplecie, składającym się z dwóch grup liczących łącznie 21 osób, a przed nami stoi nasz środek transportu. Wybierając się na kursówkę, nastawiłam się na absolutny brak komfortu w ciągu najbliższych dwóch dni, co powoduje, że trochę nieswojo czuję się siedząc na skórzanym fotelu naszego luksusowego busika. Jedyną niedogodnością jest zbyt mało miejsca przeznaczonego na wyciągnięcie nóg. Wesoły kierowca z uśmiechem na ustach informuje nas (co zresztą uważam za jedno z najtrafniejszych porównań, jakie zdarzyło mi się słyszeć), że „pas bezpieczeństwa jest jak prezerwatywa, jak się ma to lepiej użyć, ale co kto woli”. Uśmiecham się, rozkładam siedzenie i zasypiam oparta o szybę, patrząc, jak za oknem świat zmienia się w smugę światła ulicznych latarni. Nie mam pojęcia, co czeka mnie jutro, więc wolę być wypoczęta i pełna energii.

Pierwsze koty za płoty



Poranna integracja Fot. Michał Pluta.

Przybywamy na miejsce, to jest do Tylicza. Za oknem ciemno, do tego znacznie chłodniej, a my mamy tylko kilka chwil, by wysiąść i zabrać swoje rzeczy, jako że druga grupa wysiadła kawalek dalej. Półprzytomna z powodu wyrwania ze snu i nieco zdezorientowana wysiadam, chwytam swój plecak i rozkładam mapę próbując znaleźć miejsce w którym jesteśmy – nic z tego. . . W pierwszej chwili trzymam mapę do góry nogami, ale nawet odwrócenie w dobrą stronę niewiele pomaga. Przez chwilę zastanawiam się czy kurs przewodników górskich to na pewno miejsce dla mnie, jako że podejrzewam, iż umiejętność posługiwania się mapą jest kluczowa. Momentalnie myśl ta ulatuje gdy słyszę hasło „śniadanie”. Rozkładamy się obok cerkwi, każdy wyjmuje smakołyki, którymi w przeważającej mierze są przygotowane wczoraj kanapki, i rozpoczynamy ucztę, podczas której zaczyna się przejaśniać. Jest to też miejsce, w którym poznajemy nieco lepiej wszystkich uczestników, czy-

li: Asię Beredę, Karolinę Gawinek, Anię Karczyńską, Asię Krzyżanowską, Paulinę Ploch (czyli mnie), Bartka Potoczno, Andrzeja Puchalskiego, Jędrka Sidorowicza i Kubę Wiśnickiego oraz instruktorów: Tomka Wkseja i Michała Plutę, który dołączył do nas dopiero kilka chwil temu.



Terenowe warsztaty topograficzne Fot. Michał Pluta.

Pierwszym punktem wyprawy jest cerkiew, pod którą się znajdujemy. Opowiada nam o niej Kuba, a Tomek z Michałem uzupełniają wykład. Okazuje się, że jeśli wiemy dużo o jednej cerkwi, to tak jak byśmy wiedzieli całkiem sporo o wszystkich innych, ze względu na ich znaczne podobieństwo, przynajmniej w kwestiach konstrukcji. Następnie prowadzeni przez Tomka udajemy się zdobyć nasz pierwszy szczyt – Szubienicę (683). Humory dopisują i robimy pierwszą przerwę poświęconą na naukę topografii. Nieoceniona okazuje się nowatorska metoda, spontanicznie wymyślona przez Michała, polegająca na wykorzystaniu banana przy tłumaczeniu interpretacji kształtu poziomu na mapie. Ze względu na niesamowitą skuteczność, istnieje ryzyko, że gdy wpadnie ona w ręce wroga, może dać mu przewagę, dlatego też wołałabym nie zdradzać szczegółów. Zorientowawszy się gdzie mamy teraz zmierzać, udajemy się na szczyt (i tu mamy problem, bo różne mapy podają sprzeczne informacje) Wysokiego Bereścia (894) lub wzniesienie zlokalizowane na północny-zachód od niego. Właściwa okazuje się druga opcja, a nas napawa dumą, jako że udało nam się znaleźć błąd na mapie. Ruszamy w drogę i już po chwili pojawiają się wątpliwości co do lokalizacji oraz po raz pierwszy pada pytanie, które już niebawem będzie nam się śnić po nocach: „Gdzie jesteśmy?”. Zdania są podzielone, więc czas na kolejną porcję topograficznych wskazówek. Zasady określania form morfologicznych przedstawione przez Tomka są bardzo proste, a wszystko sprowadza się do ułożenia rąk zgodnie z nachyleniem terenu, raz tak jak stoimy i drugi raz stojąc pod kątem prostym do poprzedniej pozycji oraz wyciągnięcia odpowiednich wniosków. Przez chwilę czuję się niczym na pokładzie samolotu podczas prezentacji rozmieszczenia wyjść ewakuacyjnych. Tak więc:

- Szczyt: w obu pozycjach ręce ułożone w ramiona litery A

- Grzbiet: raz ręce ułożone w ramiona litery A, drugi raz w nachyloną linię prostą
- Jar: raz ręce ułożone w ramiona litery V, drugi raz w nachyloną linię prostą
- Przełęcz: raz ręce ułożone w ramiona litery V, drugi raz w ramiona litery A



Jesteśmy w lesie (dosłownie i w przenośni) Fot. Michał Pluta.

Zdecydowanie ułatwia to sprawę i w krótkim czasie prowadzeni przez Karolinę, następnie przeze mnie, docieramy do naszego celu. Czas na kolejną przerwę i tu miło zaskakuje nas Tomek, wyciągając ciasto bananowe. Niewątpliwie przygotowanie ciasta dla grupy jest jedną z cech idealnego przewodnika, co wszyscy zaczynamy doceniać. Okazuje się, że zostaje kilka nadprogramowych kawałków, co jest świetną sposobnością do zagrania w „złośliwca”. Zabawa ta polega na tym, że jedna z osób wskazuje członka grupy, który nie zje ciasta oraz podaje złośliwe uzasadnienie tej decyzji. Następnie pałeczka przechodzi dalej i wygrywa osoba, która nie zostanie przez nikogo wskazana. Istotne jest to, że zwycięzca musi zjeść ciasto bez możliwości podzielenia się czy zostawienia go na później, a pozostali uczestnicy mają prawo dopingować podczas konsumpcji. Kawałek rzeczonoego smakołyku przypada Asi B., która dzielnie się z nim rozprawia pod ostrzałem naszych spojrzeń. Przerwa dobiega końca i czas ruszać. Docieramy do Bereścia (869), po czym kierujemy się na północny

zachód w na szczyt pipantu 857. Droga upływa nam w miłej atmosferze, którą nieco psuje nalot strzyżaka jelenicy, który atakuje nas ze wszystkich stron i przez wzgląd na czepliwe odnóża jest trudny do wyciągnięcia z ubrania, a tym bardziej z włosów. Pozostajemy jednak nieustraszeni i pod przewodnictwem Ani oraz Bartka podążamy dalej, nie zmieniając kierunku, w stronę kolejnego wzniesienia. Po drodze korzystając z odsłonięcia skał, na które trafiliśmy, wygłaszam referat na temat budowy geologicznej Beskidu Sądeckiego. Cały czas przemieszczamy się grzbietami, które na ogół prowadzą w miarę jednostajnie w górę lub w dół, natomiast teraz co chwilę to wspinamy się, to schodzimy, co powoduje chwilową utratę orientacji. Nie mamy pewności czy mineliśmy już wzniesienie, do którego mieliśmy dotrzeć czy też jest jeszcze ono przed nami. Asia K pełniąc teraz funkcję przewodnika decyduje, by udać się na kraniec grzbietu w miejsce jego rozwidlenia, co ma ułatwić lokalizację. Szczęśliwie już niebawem, choć nie bez przeszkód, udaje nam się odnaleźć na mapie, a ku ucieście wszystkich następnym celem jest miejsce, w którym przygotujemy kolację.

Wieczorna uczta



Magiczna chwila przy ognisku Fot. Michał Pluta.

Powoli zapada zmrok, a prowadzenie przejmuje Jędredek. Cofamy się, znowu przemierzając grzbiet biegnący raz w górę raz w dół i ponownie tracimy orientację. Z powodu braku lepszego pomysłu decydujemy się udać zgodnie z azymutem w kierunku jaru będącego naszym celem.

Droga nie jest lekka, jako że przedzieramy się na przełaj przez gęsty świerkowy las, próbując jednocześnie iść ciągle w linii prostej. Co więcej nastały już całkowite ciemności rozświetlane punktowym światłem naszych czołówek. Mija kilkanaście minut i jesteśmy na miejscu, w końcu upragniony od dawna obiad. Jednak sprawa nie jest taka prosta. Istotną kwestią jest jak najsprawniejsza organizacja oraz podział zadań, na które składają się między innymi: przyniesienie wody, rozpalenie ogniska, podtrzymanie ognia, przygotowanie posiłku, dopilnowanie, aby się nie przypalił, zagotowanie wody na herbatę oraz sprawiedliwy podział jedzenia. Dowodzenie przejmuje Asia B. i już po chwili ogień zostaje rozniesiony, a każdy zajmuje się przydzielonym mu zadaniem. Czekając na osoby wysłane po wodę, stajemy wokół okazałych rozmiarów ogniska rozpalonego przez naszych leśników – Andrzeja i Bartka – którego płomienie zdają się lizać najniższe konary otaczających nas drzew. Masy gorącego powietrza unoszą się do góry i po chwili spada na nas deszcz pomarańczowych, bukowych liści. Magiczna chwila.

Niebawem pozostała część grupy wraca z wodą, więc bierzemy się żwawo za przyrządzanie posiłku. Dzisiejsze danie dnia to kotlety sojowe na kostce warzywnej z kaszą gryczaną w sosie pomidorowym oraz warzywami z puszki. Brzmi smakowicie, czyż nie? Nieco gorzej wygląda, zwłaszcza że wszystko gotujemy w jednym garze. Tak więc efektem finalnym jest szarawa papka, która ku naszemu zaskoczeniu jest pyszna. Czyżbyśmy byli aż tak głodni i zmęczeni? A może na ognisku rzeczywiście da się upichcić coś zjadliwego? W każdym razie wszyscy są zadowoleni. Siadamy przy ogniu słuchając opowieści instruktorów o ich pierwszych kursówkach, umacniając się w przeświadczeniu, że nie idzie nam najgorzej. W sumie spędzamy blisko 4 godziny, rozkoszując się chwilą wytchnienia i udaje nam się zmieścić w przedziale 1,5-5,5 godziny, który wyznacza ją rekordowe w SKG czasy organizacji posiłku.



Herbata z ogniska Fot. Tomek Wexsej.

Gdzie jesteśmy? Gdzie? Czy ktoś wie?

Jednak nic co dobre (nie to, żeby przechadзки w deszczu, mgłę, błocie i ciemności, czasem na przełaj przez świerki i jeżyny po grzbiecie, którego nie widać były czymś nieprzyjemnym) nie trwa wiecznie i nadchodzi czas by ruszyć w dalszą drogę. Sprawa wydaje się być prosta, bo ma-

my dojść do drogi grzbietem, nieopodal którego jesteśmy. Bez większych trudności znajdujemy ten grzbiet, podążający na północny-zachód. Wszyscy doskonale umiemy się zlokalizować, nie mamy wątpliwości, którądy iść, gdy nagle grzbiet znika i stoimy pośrodku wypłaszczenia, które zdaje się nie mieć stoków. Wracamy w miejsce, gdzie rzeźba była czytelna, ok wiemy, gdzie jest grzbiet, schodzimy na dół i znów go nie ma... Co teraz? Rozchodzimy się na wszystkie strony, szukając stoków – z marnym skutkiem. Może to kwestia zmęczenia, może później godziny (1 w nocy), może to przez deszcz, mgłę, błoto i widoczność w zakresie 10 metrów, ale mamy dosyć. Korzystając z chwili przerwy, podczas której Karolina (nasz obecny przewodnik) z instruktorami przeczesują las w poszukiwaniach wyraźniejszej morfologii, siadamy między drzewami, gasimy latarki i wtapiamy się w ciemność. Przez chwilę zastanawiamy się, czy nie zdezerterować. Pójdziemy na azymut w kierunku cywilizacji i powinno się udać. Potem nasze myśli zaprzatają bardziej istotne kwestie, trącające nieco o halucynacje wywołane zmęczeniem, mianowicie rozkminiamy czy jeśli zawiniemy się w śpiwory (zakładając, że w ogóle będzie okazja do nich wejść podczas tego wyjazdu) to rano obudzimy się motylami, tak, jak dzieje się z gąsienicami otulającymi się kokonem. Jesteśmy tak wyczerpani, że niemal wszystko wydaje się prawdopodobne i zabawne.

Ruszamy dalej, zmieniając kierunek, ostro pod górę rezygnując z przemieszczania się drogą lokalną, którą szliśmy do tej pory. Jednak mamy grzbiet! Tylko że nie północno-zachodni a południowy... Tak czy inaczej, wiemy, gdzie jesteśmy, a to już jakiś postęp. Idziemy dalej i lądujemy w miejscu, w którym byliśmy około godziny temu. Pada decyzja, by dać mi się wykazać i przekazać prowadzenie w moje ręce. Super, jesteśmy w miejscu, którego w zasadzie nie udało nam się opuścić pomimo usilnych prób – i że niby teraz będzie inaczej? No dobra trzeba zacząć działać. Decyduję, by ruszyć w górę w poszukiwaniu naszego ulubionego grzbietu, który widzieliśmy kilkadziesiąt metrów dalej. Mamy go. Schodzimy w dół i znowu ani śladu po nim. Z powrotem w górę, po coraz bardziej śliskim błocie i znowu w dół. Nic z tego. Zatrzymujemy się co chwilę, a ja odchodzę na boki szukać stoków. Oczywiście są, ale około 30 metrów od drogi w obie strony, a to czy grzbiet jest tu, czy blisko 50 metrów dalej robi różnicę. Nie mam pojęcia co robić, najchętniej zeszyłabym południowym grzbietem, który jest bardziej czytelny, ale instruktorzy przypominają mi, że nie on jest naszym celem i mam próbować dalej. Sugerują jednocześnie, żebym spróbowała iść drogą, na której jesteśmy i kontrolować czy zmiany jej przebiegu w kierunku południowym są chwilowe, bo być może zaraz wykręci i będziemy szli na właściwy azymut. W obliczu dezorientacji i rezygnacji ku mojemu zaskoczeniu droga zdaje się prowadzić nas w dobrą stronę, co więcej ukształtowanie terenu wraz z lokalnymi wypłaszczeniami i zestromieniami również się zgadza. Teraz musi się udać! Ostrożnie brnąc przez śliskie błoto, schodzimy z grzbietu tuż przy drodze, do której mieliśmy dojść. Wyjątkowo szczęśliwa chwila (Andrzeju obiecałeś mi piwo, pamiętam, ale w sumie wołałabym czekoladę). Siadamy na ściętych pniach i każdy wyjmuje smakołyki, którymi dzielimy się w atmosferze triumfu. Godzina 3 w

nocy, a ja jestem pełna energii i tryskam radością. Ach jak ta adrenalina uwalniana podczas prowadzenia stawia na nogi. Napawamy się sukcesem i udajemy się do ostatniego, wieńczonego tę łojodobę (kursówkowa jednostka czasu, zazwyczaj znacznie dłuższa niż standardowa doba) celu – miejsca obozowiska.

Kolacja i spać (nie za długo, gdyż 4 godziny snu w górach to jak 8 w Warszawie)

Pod przywództwem Andrzeja docieramy nad brzeg Pustej, gdzie znajdujemy dogodny do obozowania warunki. Jesteśmy zmęczeni i każdy najchętniej rozłożyłby namiot, wpelzał ostatkami sił do śpiwora i poszedł spać, jednak nie ma o tym mowy. Najpierw obowiązkowa kolacja przy ognisku (o 3 w nocy), która ma podnieść morale zmęczonej grupy. Rzeczywiście czujemy się znacznie lepiej patrząc na płaszące beztrosko płomienie, zającąc się barszczem czerwonym z tortellini. Gasimy ognisko i szykujemy się do snu. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam, jest wyjmowanie spod namiotu rzecznych otoczków umiejscowionych dokładnie w miejscu mojego legowiska, potem zatapiam się w marzeniach sennych i zgadnijcie, co mi się śni – mapa, poziomice, grzbiety.

Wstawaj szkoda dnia!



Poranne zwijanie obozu Fot. Michał Pluta.

Pierwszy zasłyszany o poranku dźwięk to odgłos walenia metalowymi sztućcami w gar i wesołe nawoływania „Czas wstawać!”. Posłusznie wychodzimy z namiotów, by

zostać mile zaskoczonymi przez widok karimaty, na której leży całe mnóstwo kolorowych kanapek przygotowanych w pocie czoła przez Karolinę, Bartka i Andrzeja. Oczywiście nie może zabraknąć gara z herbatą (obowiązkowo z kilkoma liśćmi lokalnych drzew). Co ciekawe okazuje się, że „szczurki, tudzież latawce” idealnie nadają się do umycia twarzy i menażek (koniecznie we wskazanej kolejności, nie na odwrót). Najedzeni i spakowani udajemy się w stronę kolejnego celu – pipanta, 793, do którego prowadzi nas Asia B.

Polska złota jesień

Pogoda jest wspaniała, nie pozostało ani śladu po nocnym deszczu, mgie i błocie. Podchodzimy dość stromo pod górę, a pomiędzy drzewami prześwitują snopy porannego światła, co jakiś czas wirują wokół nas jesienne bukowe liście. Zaczynamy żałować, że już dziś wieczorem będziemy wracać do stolicy. Sprawnie docieramy do szczytu, robiąc po drodze kilka przerw termicznych.

Następnym prowadzącym jest Kuba, który prowadzi nas na kolejne dwa pipanty 821 i 775. Nieco poniżej drugiego wzniesienia trafiamy na polanę, z której roztacza się cudowny widok na pasmo graniczne oraz szczyty po słowackiej stronie. Na taki właśnie widok czekaliśmy całą kursówkę! Siadamy na stoku, podziwiając roztaczający się przed nami krajobraz oraz robiąc panoramkę, czyli próbując zlokalizować na mapie wznoszące się przed nami góry. Pstrykamy również kilka wspólnych, pamiątkowych zdjęć, by utrwalić tę niezwykłą chwilę.

Po dłuższej chwili, gdy słońce ucieka z naszej polany, udajemy się w dalszą drogę do cerkwi we wsi Wojkowa. Jest to nasz ostatni przystanek w Górach Leluchowskich. Dzięki zaradności Kuby udaje się nam dostać do środka świątyni, w której wewnątrz oglądamy ikonostas, będący przedmiotem referatu wygłoszonego przez Anię.



Wnętrze cerkwi w Wojkowej Fot. Michał Pluta.

Pożegnanie z Beskidem Sądeckim

Wśród zapadającego zmroku udajemy się do czekającego na nas busa, a następnie podjeżdżamy po drugą grupę i ruszamy w drogę powrotną. Po drodze wstępujemy do pizzerii pod Kielcami, jako że od śniadania żywiliśmy się tylko przegryzkami. Kierowca naszego środka transportu proponuje nam seans filmowy, a my ochoczo zgadzamy się, myląc filmy „127 godzin” z „72 godziną”, czyli zamiast filmu o uwięzionym w szczelnie alpinieście oglądamy film

o śmiertelnie chorym agencie... Film nie porywa, więc nie-co znużona zasypiam. Dojeżdżamy do Warszawy, wszyscy nieco zmęczeni, ale zadowoleni. W końcu dokonaliśmy nie

lada rzeczy: udało nam się przetrwać pierwszą kursówkę!



Pamiętkowe grupowe zdjęcie Fot. Michał Pluta.

Kursówkowe tiramisu z Księciem

Joanna Bereda

Nie czytajcie lepiej tego tekstu! Mina Wam rzędzie, poziom zazdrości wyskoczy poza granice Drogi Mlecznej, a tęsknota do gór w takim wydaniu, jakie mieliśmy w pierwszy weekend grudnia, nie da spać po nocach. Pamiętajcie, ostrzegałam!

Myślę, że uczestnicy piątej Kursówki, zorganizowanej przez monarchę SKG, „Księcia” Pawła Góreckiego, chórem przyznają – niemal pod każdym względem było NAJ! O trzeciej w nocy jeszcze nie zaczynałam chodzenia po górach (najwcześniej), na początku grudnia jeszcze nigdy nie czułam w powietrzu wiosny (najcieplej), pierwszy raz w życiu w kompletnej głuszy jadłam tiramisu (najpyszniej) i nigdy nie omijałam szerokim łukiem myśliwych, którzy chcieli upolować kursantów (yyy... najniebezpieczniej).

Niewątpliwie dla mnie był to jeden z najlepszych wyjazdów w góry i będę go z sentymentem wspominać. Nie było łatwo – Paweł jest wymagającym i ambitnym instruktorem. Zaplanował dłuuuuugą trasę przez Beskid Niski i Sądecki od miejscowości Polany aż do Piwnicznej Zdrój (Polany – Hłocza – Żdźdar – Kamianna – Ubocz – Dział – Jaworynki – Ostry Wierch – Przysłop – Runek – Lembarczek – Łaziska – Parchowatka – Kiczora – Drapa – Piwniczna Zdrój).

Do tego towarzyszyli mu Michał Pluta, Michał Wan-grat, Ewelina Różańska i Grzesiek Bokota. Wszyscy bardzo zaangażowani w kształcenie przyszłych przewodników górskich, czytaj – nieodpuszczający. Jednak dla naszej 11-osobowej ekipy kursantów (plus Oli Dewiszek – uczestniczki XXXIV. KPG) nauka poruszania się w terenie i szlifowanie metodyki okazały się przyjemnością i pasmem sukcesów, poprzetykanych kilkoma zaledwie burakami.

Transportem na miejsce startu zajęła się Ania Zielińska, której zadaniem było znalezienie połączenia z Warszawy około godziny 20:00 i przyjazd do miejscowości Polany około 3:00 nad ranem (mordercza godzina – „Dlaczego tak wcześnie?” – zastanawiałam się przed wyjazdem). Ania się postarała i zorganizowała nam przejazd busiem bez przesiadek, więc jak ktoś potrafi spać wszędzie, mógł się wy-spać – pierwszy sukces. Ja się nie wyspałam, bo blisko mnie siedział Grzesiek, właściciel bardzo męskiego, budzącego głosu. Do tego poruszał zbyt interesujące tematy, aby spać (wybacz Grzesiu, nie mogłam się powstrzymać ☺).

Po dotarciu na miejsce i radosnym stwierdzeniu, że ani deszcz ani śnieg nas nie wita, obejrzelśmy pierwszą łemkowską cerkiew pw. św. Michała Archanioła z 1820 r. Opowiedział nam o niej Mateusz, niestety krótko, z zewnątrz, bo o 3:00 rano nie mogliśmy jej zwiedzić. Potem udaliśmy się na północno-wschodni stok Hłoczy. Tam zrobili-

śmy ognisko, zjedliśmy kanapki z podróży i urządziliśmy poranek zapoznawczy, przy okazji dowiadując się interesującej rzeczy. Jeżeli ktoś jeszcze tego nie wie, to uprzejmie donoszę, że SKG bywa nazywane Studenckim Klubem Matrymonialnym i ma już długą tradycję w temacie łączenia ludzi dzięki miłości (Ola D. uświadomiła nam, że nie tylko miłość do gór w Klubie jest silna). Zatem, cytując jeden z komentarzy, który wtedy padł: „SKG to fajne miejsce, aby poznać ludzi, z którymi można pojechać w góry albo wziąć ślub”. Są inne opcje?



Cerkiew w Polanach.

Szczyt Hłoczy, przełęcz między Hłoczą a Żdżarem oraz szczyt Żdżaru zdobyliśmy już za dnia. Dojście do przełęczy prawie skończyło się burakiem, ale instruktor szybko reagował, gdy nogi niosły nas do jarów. Chwała mu za to, bo każda reakcja i omawianie błędów na bieżąco była dla nas cenną lekcją. Poza tym południowo-zachodni stok Hłoczy potrafi zmylić, bo grzbiet okazał się dość stromy, a na mapie aż tak tego nie było widać. Po zdobyciu Żdżaru musieliśmy odnaleźć drogę do rozległej przełęczy położonej między trzema szczytami: Żdżar, Skoroniste i Sołtyśówka. Paweł uznał, że to idealny moment do poćwiczenia chodzenia na azymut. Zostaliśmy podzieleni na pięć grup 2,3-osobowych i przydzieleni do asystentów instruktora i Pawła. Wychodziliśmy co 4 minuty i kierowaliśmy się na południowy-zachód. W mojej grupie byli Ania Z. i Jakub Parys, a naszym poczynaniom przyglądał się Michał Wangrat. Wybraliśmy sposób, którego nauczyliśmy

się na trzeciej kursówce. Jedno z nas szło 10-20 metrów przed siebie, zgodnie z kierunkiem azymutu, a pozostali sprawdzali czy pierwsza osoba, nie zboczyła z kursu, jeśli nie, dochodziliśmy do niej i tak w kółko. Nie trafiliśmy od razu na przełęcz. Mielśmy tendencję do skręcania w prawo, zboczyliśmy o niecałe 300 metrów od niej. Pozostałe grupy także nie dotarły precyzyjnie do przełęczy.



Na przełęczy pod Żdżarem.

Kolejnymi szczytami do zdobycia były Stermina, Ubocz, Czerteże, Ubocz, Dział (tak, były dwa Ubocze – wygląda na to, że mieszkańcy Beskidu Niskiego nie byli skłonni do zbytniego wysilania się przy wymyślaniu nazw). Do Sterminy z przełęczy doszliśmy drogą okrążającą Żdżar od zachodniej strony. Od pewnego momentu była pokryta asfaltem – leśnicy lubią wygodę, ale my nie lubimy takich ułatwień, więc... z niego skorzystaliśmy, bo jesteśmy masochistami. Na Sterminę i Ubocz weszliśmy bez większych problemów. Ciekawie zaczęło się robić, gdy zbliżaliśmy się do szczytu Czerteże, okazało się bowiem, że wszędzie jest mnóstwo myśliwych, którzy polowali na jelenki, ale deklarowali także chęć zestrzelania kogoś z nas, więc grzecznie podziękowaliśmy za ofertę i zachodnim stokiem obeszlśmy wierzchołek tej łamiącej język góry.

Gdzieś między szczytem Czerteże a Działem Ola D. wygłosiła mrozący krew w żyłach referat o geologii Beskidów. Mrozący, bo z poświęceniem zaczęła wygrzebywać łupki spod sporych rozmiarów piaskowca, pod którym stała. Nie udało jej się zrobić z siebie marmolady i dobrze, bo referat był świetny. Jednak ten widok utkwił w pamięci kursantów, a Ania Z. ukuła nawet piękną parafrazę starożytnego epigramu z grobu Leonidas: „Przechodniu, powiedz SKG, tu leżym zasypiani przez łupki i piaskowce, wierni prawom Klubu do ostatniej godziny”. W oryginale była mowa o Sparcie.

Dotarliśmy na Dział, powoli zaczęło się robić ciemno i wtedy też „chodzenie pod górkę” nabrało bardziej metaforycznego niż dosłownego znaczenia. Wszyscy kochamy szukać grzbietu po nocy... Z Działu mieliśmy zejść na przełęcz prowadzącą na szczyt Kotowiki Wyżne, zamiast tego wyznaczony azymut pokierował nas na strome zbocze i do jaru. Lecz dzięki niechcianemu pobłądzeniu, znaleźliśmy doskonałe miejsce do zrobienia obiadu. Istny drzewny i wodny raj – o suche gałęzie wciąż się potykałam, a do wody mieliśmy dwa kroki. Obiad zaplanowany przez Michała Wyrobę był... różnorodny – makaron z pesto, ka-

banosy, ser, herbatniki... I nagle objawienie wyjazdu – Michał Pluta wyczarował tiramisu! Jak? No dobra, przywiózł z domu w plastikowym wiaderku. Na oko było tego z 1,5 kilograma. Po zaśpiewaniu stu lat Pawłowi, któremu otrzymany dar odebrał mowę, zaczęliśmy pałaszować deser, przekazując go sobie z rąk do rąk niczym fajkę pokoju. Ta chwila już stała się legendą. A niebiański smak pozwolił zapomnieć gdzie jesteśmy i co nas za chwilę czeka – spodziewałam się błędzenia do 3:00 nad ranem.



Ognisko w Jarze.

Okazało się, że strach ma wielkie oczy. Przejście na Kotowiki Wyżne, Sołtysówkę i Jaworynki odbyło się bez większych problemów. Słyszałam nawet komentarze kadry: „Jakaś dziwna ta kursówka, ciepło jak w marcu, kursanci prawie nie buraczą, prawie nie gubią grzbietów, szybko zrobili ognisko”. Ja też się nam dziwiłam, ale przyczyny dobrej passy upatruję właśnie w idealnej, wręcz nieprzystojnie dobrej pogodzie. Słońce i gwiazdy nawet na chwilę nie chowały nam się za chmurami, o mgłę nie było mowy, w powietrzu czuć było wiosnę, pierwszy raz podczas kursówki nie czułam zimna i jedyne co omijaliśmy, to była kupa... wody pojawiająca się na naszej drodze (określenie to wygłosił Kuba P., który prawie wlaźł w głęboką kałużę). Na Jaworynkach rozbiliśmy obóz i zjedliśmy kolację. Tutaj w nocy już były drobne problemy... nomen omen z wodą. Zejście do jaru okazało się strome, o czym dobitnie przekonał się wywołany wcześniej Kuba. Zjechał dolną częścią ciała w dół i pozbawił się źródła światła. Czołówka się rozsypała, jedna z baterii gdzieś uciekła i przez 30 minut musiał liczyć, że Adam poświeci im obu podczas powrotu do obozu. Jednak poza tą sytuacją ognisko udało się rozpaść gładko i kolację również podano szybko. Paweł z charakterystycznym dla siebie łaskawym, książęcym gestem zapowiedział, że pośpimy ok. 5 godzin. Pobudka miała być o piątej. Zaspaliśmy... Obudził nas Michał Pluta.

Przygotowywanie śniadania już nam nie szło tak sprawnie jak obiad i kolacja. Choć robiliśmy jedynie owsiankę i herbatę, gotowi do wymarszu byliśmy dopie-

ro o 9:00. Mieliśmy też za mało wody, co dało się odczuć potem podczas wędrówki. To był ważny sygnał na przyszłość – podczas pakowania plecaków warto zabrać ze sobą więcej pustych butelek do napełniania. Niestety ponieważ późno wyruszyliśmy i szliśmy wolno, Paweł musiał skrócić trasę niemal o połowę i zrezygnować np. z podziwiania panoramy Tatr z Bacówki nad Wierchomlą. Z Jaworynek dotarliśmy na Pasieczki, by zejść do doliny, którą płynie Kamienica (wytycza granicę Beskidu Niskiego i Sądeckiego). Na stoku Pasieczek dowiedzieliśmy się, co to było Państwo Muszyńskie i Starostwo Spiskie, kim był Nikifor oraz skąd pochodzą nazwy szczytów w Beskidzie Sądeckim (głównie miały związek z pastwiskami). Stamtąd udaliśmy się do cerkwi św. Dymitra (1819 r.) w Roztoce Wielkiej, która nie jest zorientowana tak jak większość świątyń na Wschód, ale ustawiona na osi północ-południe.



Ostatni grzbiet.

Wraz z opuszczeniem cerkwi rozpoczął się ostatni etap naszego przejścia przez „kraj marzeń”. Poszliśmy na grzbiet, na którym znajduje się szczyt Jaworzynka (889 m n.p.m. – według Comfort Map). Początkowo tą trasą mieliśmy dotrzeć do Krynicy Zdrój, ale czas naglił, więc z gór zeszliśmy na wysokości Kopciowej. Po drodze zaliczając pipant 794 m n.p.m. oraz fragmenty czerwonego i żółtego szlaku. Na koniec stery przejęła Ania K., która dwa dni przed wyjazdem na Kursówkę otrzymała zadanie organizacji transportu powrotnego. Sprawiała, że na przystanku w Kopciowej czekał na nas bus, którym pojechaliśmy do Krakowa, skąd mieliśmy pociąg do Warszawy. Na dworcu kupiła nam wszystkim pizzę i zaprowadziła do najdłuższego składu osobowego jaki kiedykolwiek widziałam. Nasz wagon był ostatni i nie mieścił się już przy peronie. Warto było jechać na końcu, bo przedziały okazały się dawną pierwszą klasą – 6-osobowe, z rozsuwanymi fotelami. WOW! Do domu wracaliśmy będąc w błogim nastroju i czując jeszcze „zapach przygody”. ■

Ostatni egzamin praktyczny

Przejście Letnie 2015

Paulina Kocot, Ewelina Różańska, Grzegorz Bokota

Naszą przygodę z ostatnim egzaminem praktycznym Kursu Przewodników Górskich rozpoczęliśmy w piątek 10 lipca na Dworcu Centralnym w Warszawie. My, to znaczy: kursanci: Magda "Maluch" Wierzbicka, Paulina Kocot, Ewelina Różańska, Grzesiek Bokota, Michał Stachura i Janusz Paczesny; waleci: Ola Laszczka, Magda (wtedy jeszcze) Dziegielewska, Piotrek Lewandowski i Kamil Szmít oraz szanowny instruktor Michał Bekey. Pełni życia, energii i jeszcze "świeży", my kursanci i waleci, którzy wybrali się z nami na górska przygodę, oczekiwaliśmy na pociąg do Budapesztu, który był naszym pierwszym przystankiem na trasie do Rumunii – Letnie 2015 odbyło się w górach Gurghiułui i Hargita. Pewnie te pasma nic Wam szczególnego nie mówią, boć jak Rumunia to przecież od razu na myśl przychodzą Fogarasze czy Góry Rodniańskie. Ale dla nas liczyły się góry mniej oblegane, w końcu pojechaliśmy odpocząć od tłumów i zgiełku. I wcale nie wybraliśmy rejonu nieznanego, ponieważ wymienione góry znajdują się w jednym z najbardziej fascynujących krain środkowo-wschodniej Europy – Transylwanii, czyli Siedmiogrodu.

Po całonocnej podróży pociągiem dojechaliśmy do stolicy Węgier. Skąd pomysł na dojazd do Rumunii przez Węgry, skoro szybciej przez Ukrainę? Ano dlatego, że naszym instruktorem był Węgier z krwi i kości Michał Laszlo Bekey, znający wszystkie zakamarki miasta, i takiej okazji na zwiedzanie nie mogliśmy po prostu przegapić ☺

I tak Michał oprowadził nas i pokazał nam wiele interesujących miejsc Budapesztu, m.in. bazylikę Św. Stefana, Plac Bohaterów, Zamek Królewski, Zamek Vajdahunyad, zaprowadził nas do barku, w którym skosztowaliśmy tradycyjnego węgierskiego placaka – langosza, po czym udaliśmy się do rodzinnego domu Michała – można powiedzieć na ostatni pyszny, domowy posiłek i relaksujące "nicnierobienie"...



Jeszcze pachnący w Budapeszcie.

Zostaliśmy bardzo miło ugoszczeni przez rodzinę Michała i poczęstowani przepysznym gulaszem, szarlotką, bułeczkami, brzoskwiniami, a nawet lody się pojawiły. Sie-

dząc pod altaną oplecioną dojrzewającą winoroślą, czuliśmy się jak w niebie (zwłaszcza, że przed nami malowały się 2 tygodnie łażenia z pełnym dobytkiem i gotowaniem na ognisku), myśląc o tym, że nasza górska przygoda zaraz się rozpocznie, a my jako kursanci, będziemy musieli starać się ze wszystkich sił, aby wyjazd był dla wszystkich udany. Ostatnie próby ładowania telefonu, zajądania się smakołykami, co niektórzy nawet zażyli kąpeli (przez następne 2 tygodnie kąpiele oferowały górskie potoki), aż w końcu nasz instruktor powiedział, że czas się zbierać – autobus do Sovaty (Rumunia) mamy tylko jeden. . .

Z ciężkim sercem opuszczaliśmy wygodę domowego zacisza, jednak myśli o wspólnym wałęsaniu się po górach napełniały wszystkich pozytywnie. Byliśmy także bardzo ciekawi, jakie będą te góry, bo nikt z nas w nich nigdy wcześniej nie był. Z przedmieść Budapesztu udaliśmy się z powrotem do jego centrum, skąd autobusem ruszyliśmy w kolejny całonocny "wojaż" w kierunku już naszego celu, czyli Siedmiogrodu. Warto wspomnieć, że oczekując na nasz transport, umilaliśmy sobie czas śpiewankami, a przyszywał nam na gitarze niezawodny w swej profesji Janusz "Niedźwiedź". Janusz swoją gitarę zabiera wszędzie i tym razem nie mogło być inaczej.

Dojechaliśmy do miejscowości Sovata, skąd zaczęliśmy nasz egzamin praktyczny. A naszym pierwszym "przewodnikiem" został Michał Stachura, który poprowadził nas do parku zdrojowego Sovaty. Miejscowość ta bardzo przypomina polską Szczawnicę czy Krynicy Zdrój. Tam, na łonie natury, ale jeszcze w cywilizacji, zjedliśmy śniadanie. Był to też ostatni moment na zakupy, ponieważ następny sklep odwiedzić mieliśmy dopiero po 3-4 dniach wędrówki. Swoją drogą, musieliśmy wyglądać nader "dziwnie" dla miejscowych i kuracjuszy, ponieważ turystyka górska w tej części Rumunii nie jest bardzo popularna. A tu masz, grupka ludzi z dużymi plecaki przemierza miasto i udaje się w góry. . . ale po co? Nie zrozumie tego ten, który nie ma tego we krwi. (Zresztą podczas całego wyjazdu byliśmy atrakcją turystyczną dla mieszkańców regionu, ich spojrzenia wyrażały to same za siebie).

I zaczęło się. Na pierwszy ogień poszły Góry Gurghiułui, które nas zaskoczyły. I to pozytywnie. Przed wyjazdem planując trasę przejścia bazowaliśmy głównie na mapach internetowych, na które patrzyliśmy z przymrużeniem oka. Niby jakieś szlaki tam są, ale jak to wygląda w terenie, tego nie byliśmy pewni, co więcej trochę nas przerażało to, co znajdziemy na miejscu. A tutaj niespodzianka w postaci ładnie oznaczonego szlaku, który odzwierciedlał jego przebieg na mapie (mapy oczywiście mieliśmy) przez całe Góry Gurghiułui, a i później szlaki prowadziły nas ładnie przez Góry Hargita. Dzięki temu odetchnęliśmy trochę z ulgą, my tzn. kursanci, bo waleci przejmować się niczym nie musieli (takim to dobrze). ☺

Michał prowadził nas południowo-zachodnim grzbietem masywnej góry Saca (1776 m n.p.m.), która jest wygasłym wulkanem. Warto więc wspomnieć, że schodzone

przez nas pasma są genezy wulkanicznej, a budujące je skały to głównie andezyty. Tego dnia trasa wiodła przez bór świerkowy. Jak się później okazało, większość trasy, zarówno przez góry Gurghiułui jak i Hargita wiedzie przez las, bo taka jest specyfika tych pasm (choć oczywiście były i odcinki odsłonięte). Nasz pierwszy nocleg w górach rozłożył się głęboko w dolinie, na łące pachnącej miętą. Obiad niemal sam się ugotował, bo organizacja w grupie była tak sprawna, a drużyna tak zgrana, że przewodnik nie musiał się wiele nagadać i każdy wiedział, co ma robić. Ta miła tendencja powtarzała się wielokrotnie i naturalnym było dla nas stosować się do – w gwoli jasności ustalonego przed wyjazdem – motta „nie podkładamy sobie świń”.



Gotuj się obiadku!

Drugiego dnia Paulina kontynuowała drogę ku szczytowi. Zarządzona przez nią popołudniowa sjesta obiadowa na otwartej polanie była miłym odpoczynkiem od dźwigania plecaka – jak to bywa na początku górskiej wędrówki – piorunsko ciężkiego. Osobom wysłanym po wodę nieco przedłużył się powrót, bo każdy krok pod górę torował im krzaczek jagód. Kontynuując wędrówkę, grupa szła przez polanę, na której pasły się krowy pilnowane przez wyjątkowego byka. Podczas gdy krowy grzecznie ustępowały nam miejsca na ścieżce, jurny samiec, czarny jak węgiel byczek, biegał energicznie w różnych kierunkach, po czym zatrzymywał się i zastygał w bezruchu, pozując do zdjęć. Dosłownie! Dumnie zadzierał głowę, jakby chciał powiedzieć: „Patrzcie wszyscy, jaki jestem piękny!”. Był przezabawny. Tego wieczora przy ognisku Janusz po raz pierwszy zagrał na swojej wysłużonej gitarze, a przez las niosły się nasze śpiewy. Od tej pory gitara i kilka noszonych przez Janusza śpiewników były stałym elementem wieczornego siedzenia przy ognisku. Najmniej zadowolony z tego był Michał B., który zawsze rozbijał swój namiot najbliżej ogniska, żeby lepiej słyszeć, o czym szepczą kursanci, gdy wydaje im się, że instruktor już śpi.

Trzeciego dnia górskiego Grześ zdecydował się na dzień restu i pozostanie z biwakiem w tym samym miejscu z powodu groźących burzą ciężkich chmur. Deszcz faktycznie miał miejsce dopiero wieczorem, co skłoniło nas do schronienia się w 9 osób w 4-osobowym namiocie Michała S. – oczywiście z gitarą. Tego dnia odbyła się rytualna kąpiel w potoku i szamanizm zastosowany na Maluchu, czyli leczenie brzucha naparem z łydełek borówek. Pod wieczór ujrzelśmy panoramę gór Hargita i przebieg naszej trasy na kolejne dni.

Ten manewr nie uszedł Grześkowi na sucho (nie tylko przez deszcz) – Bekey dał mu drugie prowadzenie następnego dnia. Przewodnik wprowadził nas na Sacę. Jaka szkoda, że pomimo niezalesionego szczytu nie widzieliśmy wokół nic prócz grubej warstwy szarych chmur. Było wtedy zimno i porządnie wiało. Po południu wylądowaliśmy na przełęczy Bucin. Myśleliśmy, że w zetknięciu z cywilizacją trochę poszalejemy w rumuńskim alimentara (sklepie spożywczym), jednak mimo zatrzymujących się tam autokarów z turystami, zastaliśmy jedynie stragany z pamiątkami i restaurację. Produktem pierwszej potrzeby był w sumie tylko cukier, który na wyjazdach znika nie wiadomo kiedy. Ten kupiliśmy w restauracji – „Avea zahar?”. Poza tym od pani kucharki Magda-walet pożyczyła klej z zamiarem podklejenia podeszwy, który jednak okazał się niczym w porównaniu z późniejszym wytworem myśli inżynierskiej Michała S.: konstrukcji polegającej na stuptucie przymocowanym do buta opaskami samozaciskowymi.



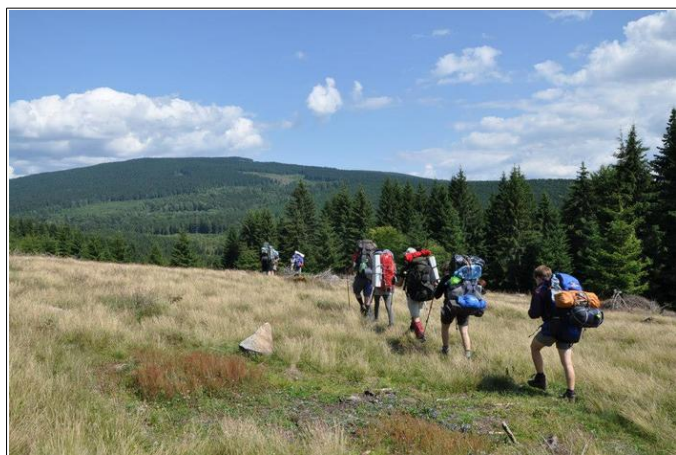
W drodze na Sacę.

Piątego dnia Janusz miał trudne prowadzenie, ponieważ grupa była wyjątkowo nieposłuszna. Ale czy Ty Czytelniku, byłbyś w stanie przejść obojętnie obok rosnących tuż przy ścieżce krzaczków poziomek? W końcu przewodnik dał za wygraną nakazując przerwę, żeby grupa mogła dać upust poziomkowo-jagodowej euforii. Stok został znacznie przetrzebiony. Następnie na widokowym grzbiecie, w cieniu okazałego drzewa zrobiliśmy sobie obiad, do którego wodę zaczerpnęliśmy z poidła dla owiec zasilanego prosto ze źródła. Skoro owce, to także i psy pasterskie, z którymi mieliśmy na tym wyjeździe do czynienia po raz pierwszy. Zwartą 4-osobową grupą podchodziliśmy do chaty pasterza z pytaniem o rozpalenie ogniska na jego pastwisku. Zanim zjawił się mężczyzna, podbiegło do nas na odległość kilku metrów 8 psów szczekających agresywnie. Niesamowitym wydało nam się to, że kiedy przestały szczekać, zaczęły do nas podchodzić i obwąchiwać nas! Ale woleliśmy nie wyciągać rąk do głaskania. Tego dnia okazało się jeszcze, że musiało brakować nam witamin, skoro nasze organizmy tak zachłannie upominały się o owoce runa leśnego. Otóż po kolacji, komu jeszcze chciało się schylać i upał nie wysał z niego resztek energii, póki nie zapadł zmierzch, jagodowe pole przy biwaku zapełniło się zbieraczami. Pierwotna konkurencja między facetami i tam znalazła swoje pole do popisu: „Ile już masz? Ja mam pół menażki. A Magda ile ma!”.

Dzień szósty rozpoczął się od zainicjowanej przez Ewe-

linę rozgrzewki i rozciągania. Maluch prowadziła nas dalej grzbietem opierając się na radzieckiej sztabówce, w którą zaopatrzył się każdy z nas, ponieważ na mapach wydawnictwa Dimap ten fragment nie został uwzględniony. Na naszej drodze natknęliśmy się na symboliczne miejsce poświęcone ofiarom gór. Nie był to stricte cmentarz, lecz wysoki drewniany słup ozdobiony wyrzeźbionymi reliefami i wstążkami, który przez rdzennych mieszkańców tych ziem – Seklerów – nazywany jest kopjafą, oraz brama symbolizująca wejście do innego świata. Kopjafa jest odpowiednikiem nagrobka. W pewnym momencie szlak zniknął, więc Maluch przeprowadziła nas jak na wychowaną w krzozach i jarach kursantkę przystało – trzymając się grzbietu przez wiatrolomy.

Siódmy dzień był najdłuższym dniem spędzonym na szlaku. Prowadząca grupę Ewelina nieco zmodyfikowała ustaloną trasę i zesłała ze szlaku, przez co znaleźliśmy się nie bezpośrednio na przełęczy Liban, którą wyznaczaliśmy sobie wcześniej za cel. Niemniej asfaltową drogą przeszliśmy parę kilometrów do wsi Liban, w której odwiedziliśmy drugi na trasie sklep. Po drodze oglądaliśmy rumuńską zabudowę wiejską i piękne bramy seklerskie – symbol Seklerów i wyraz ich ciesielskich talentów. Gdy wkroczyliśmy już w pasmo Harghity, spotkaliśmy leśników jadących pick-upem w kierunku miejsca wyznaczonego na nocleg, którzy zaproponowali zabranie naszych plecaków na pake. Na lekko, już o zmierzchu, dotarliśmy na miejsce biwaku. Niestety, namioty same się nie rozłożyły i kolacja sama się nie ugotuje, przez co po zjedzeniu wszyscy zmęczeni tym dniem, który upłynął pod znakiem nadprogramowych gotów, odrzekli „Ewelina, zabiłaś imprezę”. I tego wieczoru nikt nie palił się do śpiewanek. Nie ma wątpliwości, że plusem tamtego biwaku była możliwość uzupełnienia wypoconych minerałów dzięki wodzie mineralnej ze źródła, jakich wiele w tych okolicach, co widać po nazwach miejscowości z członem Bai (z j. rum. „uzdrowisko”).



Trza iść.

Po tygodniu wędrowania po lesistych górach nadarzyła się wreszcie (zapewne długo wyczekiwana przez Michała B.) chwila. Otwarta przestrzeń na przełęczy pod Fertau (1589 m n.p.m.) stwarzała idealne warunki (no może poza szaleńczym słońcem w samo południe) do przeprowadzenia indywidualnej panoramki 180 stopni na wschód. Nieprzyzwyczajone do mnogości planów oczy intensywnie się wtedy napracowały. Tak samo jak nogi, które przeszły te-

go ósmego już dnia całkiem pokaźny dystans. Nagrodą był pieczony na ognisku boczek!

Michał S. zaopiekował się nami dziewiątego dnia, kiedy to zdobywać mieliśmy najwyższą górę podczas Przejścia – Hargita Madaras o wys. 1800 m n.p.m. Zostawiliśmy plecaki w jednym z ośrodków wypoczynkowych dzięki uprzejmości pracującej tam Rumunki znającej niemiecki. Przełęcz pod tym szczytem była najbardziej zagospodarowanym turystycznie miejscem, na jakie trafiliśmy. Hotele, restauracje, stoki narciarskie... W kontraście do braku napotkanych przez nas turystów na przestrzeni wielu kilometrów w obu pasmach, szlak na Hargitę Madaras był uczęszczany przez sporą liczbę ludzi. Ta góra ściąga przede wszystkim Seklerów, jest dla nich miejscem szczególnym, celem pielgrzymek, ponieważ na szczycie znajduje się coś niesamowitego – „las kopjarf”. I nie jest to cmentarz, ale symboliczne miejsce, w którym tęskniący za dawnym Królestwem Węgier Seklerzy, mieszkający i w Rumunii i na Węgrzech, okazują swoją tożsamość i przynależność do ziem Seklerszczyzny, której są dziećmi niezależnie od tego, do którego państwa administracyjnie przynależą. Choć widoki ze szczytu były bardzo rozległe, to lepkie od gorąca, parujące powietrze utrudniało dostrzeżenie zarysowanych daleko na horyzoncie planów kolejnych pasm. Przy dobrej widoczności z Hargity Madaras można zobaczyć oddalone o 100 km na południowy-zachód Fogarasze! W drugiej części dnia prowadzenie objęła Paula. Przy wieczornym ognisku Michał B. postanowił skrócić przejście przez góry z powodu odnawiającej się kontuzji kolan Eweliny. Także reszta grupy nie miała mu tego za złe, bo już dawało się odczuć panujące ogólne zmęczenie.

Dlatego dziesiątego dnia rozpoczęliśmy schodzenie z gór. Ewelina zaprowadziła nas do miejscowości uzdrowskiej Hargita Bai. Byliśmy szczerze zaskoczeni tym, jak zrujnowane albo bardzo zaniedbane domy i obejścia przenikają się z hotelami, nowoczesnym kościołem i parkiem linowym. Ten sam miszmasz architektoniczny mieliśmy później okazję „podziwiać” w liczącej 45 tys. mieszkańców Cikszeredzie. Najciekawszym miejscem w Hargita Bai był tradycyjnie sklep, w którym kupiliśmy arbuza! Oczywiście został pochłonięty przez nas od razu. Następnie prowadzenie przejął Grześ, prowadząc nas na Skałę Koszuta (1399 m n.p.m.) i do miejsca noclegowego. Ponieważ miał to być nasz ostatni nocleg w górach, Grzesiek bardzo przyłożył się do znalezienia idealnego miejsca. W czasie jego nieobecności graliśmy w skojarzenia – nie da się ukryć, że zbyt długi czas bez opieki przewodnika wywołuje grupową głupawkę.

Jedenastego dnia nastąpiło oficjalne pożegnanie z górami – jeszcze przed południem dotarliśmy do drogi, dokąd zaprowadzili nas Maluch i Janusz. Tam rozdzieliliśmy się na dwie grupy: Ewelinę i Grześka, którzy stopem podjechali do Miercurea Ciuc (węg. Csikszereda) – dodam, że stopowanie po Rumunii nie należy do najprostszych – podczas gdy reszta grupy maszerowała poboczem. Zostawiwszy plecaki na dworcu, zwiedzaliśmy miasto na lekko, rozglądając się jednocześnie za knajpką z rumuńskim jedzeniem. Sama starówka jest przyjemna. W centrum stoją pokaźne budynki administracyjne, zamek Miko, cerkiew i skansen. Odbyliśmy nawet „pielgrzymkę” na wzgórze z franciszkańskim kościołem ze słynącą z cudów

Madonną. Miasto jest ładne, ale pozostałości z czasów komunistycznych wzniesione w socjalistycznym stylu nardowyw bardzo psują tkankę miejską. Na obrzeżach miasta wrażenie znacznie poprawiają schludne kolorowe domy, zdobione często bramami seklerskimi i rozciągająca się za nimi panorama gór. Przed odjazdem posililiśmy się w restauracji, próbując smacznej rumuńskiej kuchni bazującej na mamałydze, serze i mięsie. Pan kelner chciał obsługiwać nas tylko po angielsku, mimo że mieliśmy świetnego tłumacza. Racziliśmy się później wykwintnymi deserami i chłodziliśmy wodą, bo upał był niemiłosierny. W międzyczasie wygłoszony został jakiś referat i Michał przeszedł do omówienia ogólnego i tych omówień indywidualnych, które kończył na dworcu i w pociągu w drodze do Tokaju. . . W ciepłych barwach zachodzącego słońca po raz ostatni patrzyliśmy z okien pociągu na góry, które przez dziesięć dni wiązały nasze losy – i już za nimi tęskniliśmy. Tęsknotę wywoływał także pozostawiony w nich beztroski świat (choć był to egzamin, to w porównaniu do miejskiej codzienności, jakby nie patrzeć codzienność w górach była beztroska), bliskość natury i dzielone z przyjaciółmi chwile. Niecierpliwie czekaliśmy na ostatnią osobę, która była na audyencji u Michała, by móc wspólnie cieszyć się pozytywnymi wynikami – wszyscy kursanci zdali! – i oficjalnie zakończyć Przejście Letnie, czyli napić się wreszcie zimnego piwa.



Zdjęcie dla sponsora – zupki SYS.

Przejście Letnie zakończyliśmy w rajku białego wina – Tokaju ☺ Ach, jakież to było przyjemne, by po ciężkim

tygodniu w górach udać się z powrotem na Węgry, tym razem, aby oblewać cudownie pysznym winem pozytywne zakończenie Przejścia Letniego! W Tokaju spędziliśmy 2 dni. Po zakwaterowaniu się na polu biwakowym tuż nad rzeką Bodrog, daliśmy sobie czas dla siebie. Część z grupy poszła spać, ponieważ trafiliśmy wtedy na falę upałów, więc w godzinach południowych nic nie dało się zrobić. Ale część osób, która spać nie mogła, chłodziła się albo przy piwku, albo winie – to był aperitif tego, co miało dopiero nastąpić. Bo prawdziwe wino dane nam było poznać dzięki Michałowi Bekeyowi, który tamtejsze piwniczki zna bardzo dobrze, jak i język węgierski ;) Zaprowadził nas do jednej z najlepszych piwniczek u pewnej pani, która zaprezentowała nam swoje wyroby, a Michał opowiadał, właściwie tłumaczył, to co właścicielka mówiła o tym regionie winiarskim. Dzięki temu, dowiedzieliśmy się wiele o tokajskim winie, ale to co było dla nas najważniejsze, to smak prawdziwego tokajskiego trunku, którym byliśmy zachwyceni. Odzwierciedliło się to w bezcennej i niepowtarzalnej radości Grzesia po degustacji różnych gatunków win (próbował każdy, a pani nalewała od serca, lecz Grzesiek był ewidentnie najbardziej zadowolony) oraz zakupem odpowiednich ilości butelek wina przez każdego z nas. A trochę tych litrów było . . . ;) Po wizycie w piwniczce i spacerku na "wytrzeźwienie", wróciliśmy na miejsce noclegowe i rozpoczęliśmy nocne świętowanie. Były śpiewanki, wspomnienia, opowieści, plotki, jak i snucie planów naszych przyszłych rajdów zaliczeniowych. Wieczór upłynął nam świetnie. Następnego dnia nadszedł czas powrotu do Polski i żeby sobie jeszcze trochę tę wycieczkę urozmaicić, wracaliśmy na stopa, wariaci. . . ☺ Oczywiście nie wszyscy razem, bo to byłoby trudne, acz wyzwanie duże. . . No ale, podzieliliśmy się na dwu i trzyosobowe grupki i zaczęliśmy wyścig: kto pierwszy przekroczy granicę Polski. Każdy z nas miał inne przygody podczas powrotu. Zwycięzcami tego rajdu zostały stopujące pierwszy raz w życiu Waleciątka, czyli Magda i Piotrek, którzy jednym tirem przejechali z Węgier do Łukowa! Natomiast najbardziej ociągali się Maluch i Janusz, którzy zrobili sobie biwakowy przystanek nad jeziorem pod Tarnobrzegiem (w końcu należało nieco odciążyć plecy z tych dźwiganych tokajskich litrów) oraz Ewelina, Michał S. i Kamil (nie przejeżdżajcie autostopem przez Tarnów – utkniecie tam na amen! – E.). ■

Nie tylko Beskidy, czyli o alpinizmie w wydaniu SKG

Marek Paleski



Mont Blanc.

Pierwszym Polakiem, a jednocześnie ósmym alpinistą na szczycie Mont Blanc był Antoni Malczewski – poeta, prekursor romantyzmu. Kto był pierwszym członkiem SKG na szczycie? Tego niestety nie udało nam się ustalić. Jednakże mamy dobrą wiadomość: flaga SKG załopotała na Dachy Europy po raz kolejny! Tym razem szczyt został zdobyty od strony włoskiej, a więc tzw. drogą papieską, uchodzącą za najtrudniejszą spośród wszystkich dróg niewspinaczkowych. Ale po kolei...

Wyprawa rozpoczęła się 2 sierpnia 2015 roku, kiedy to około godziny 21:00 wyjechaliśmy z Warszawy. Nasza ekipa składała się z pięciu osób: trzech członków Sekcji Wysokogórskiej SKG – Paweł Nowakowski, Marek Paleski i Michał Wangrat, oraz dwóch sympatyków klubu – Kamil Grycz i Jakub Wichowski. Po całej nocy i znacznej części dnia, o 17:00 dotarliśmy do Saint Jacques – małej miejscowości we włoskich Alpach, położonej w Dolinie Aosty. Stąd planowaliśmy rozpocząć pierwszą, aklimatyzacyjną część naszej wyprawy. Po przepakowaniu zostawiliśmy samochód na parkingu i wyruszyliśmy w góry. Gdy tylko zaczęło się ściemniać, około 21:00, rozbiliśmy namioty w małej urokliwej dolince nad potokiem. Już następnego dnia czekało na nas spore podejście. Z wysokości 1900 metrów, z pełnymi plecakami, namiotami, sprzętem alpinistycznym, postanowiliśmy dojść w okolice schroniska Refugio Mezzalama, na wysokość 3100 metrów i tam rozbić kolejny obóz. Teren początkowo łatwy – lasy, alpejskie hale i potoki, stosunkowo szybko zamienił się w trudną do poruszania się kamienno-żwirową pustynię. Weszliśmy na morenę boczną lodowca schodzącego ze szczytów Breithorn i Zwillinge. Padający deszcz nie ułatwiał nam wyprawy. Po paru godzinach wędrówki dotarliśmy do lodowca, gdzie założyliśmy raki, przewiązaliśmy się liną i w labiryncie szczeliny kontynuowaliśmy naszą eskapadę. Pod schronisko dotarliśmy gdy już zaczynało się ściemniać. Szybko rozbiliśmy namioty, Paweł i Kuba poszli po wodę (do lodowcowego jaru) i przygotowaliśmy zasłużoną kolację.

5 sierpnia był bardzo trudnym dniem. Planowaliśmy

rozbić obóz na przełęczy Porta Nera (3750 m n.p.m.), leżącej na granicy włosko-szwajcarskiej, pomiędzy szczytami Roccia Nera (4075) i Pollux (4092), a następnie wybrać się na Klein Matterhorn (3883). Ponieważ plan był ambitny, wstaliśmy o 4:00 rano i przed 6:00 byliśmy już gotowi do wymarszu. Choć pogoda nam sprzyjała, pojawiły się nowe problemy, związane z wysokością i aklimatyzacją. Niestety, na początku tempo naszego marszu przypominało bardziej to znane wszystkim z kursówek SKG, niż takie, jakie sobie założyliśmy. Około 10:00 byliśmy w kolejnym schronisku (Rifugio Guide d'AYas, 3420), gdzie spędziliśmy pół godziny i dalej ruszyliśmy w drogę. Przed 13:00 dotarliśmy na przełęcz, która przez najbliższe 3 dni miała być naszym domem. Wykopaliśmy platformy pod namioty, Michał dzielnie zajął się budową toalety i po drobnym posiłku wspólnie wyruszyliśmy dalej na Klein Matterhorn, na którym było umieszczone obserwatorium meteorologiczne. Po wejściu na szczyt liczyliśmy na piękne widoki na Matterhorn, jednakże późna pora, a także spore zachmurzenie, nie pozwoliły nam podziwiać „Matczyngo Rogu”. Zawróciliśmy więc do obozu, gdzie na obiad czekała na nas zupa soczewicowa, z ziemniakami (suszonymi) i mięsem (liofilizowanym).



Baza na przełęczy Porta Nera.



Cała ekipa na Roccia Nera.

Kolejne dwa dni był dniami bardzo obfitującym w przeżycia. 6 sierpnia, choć wstaliśmy relatywnie późno (dopiero o 7:00 rano!), udało nam się zdobyć Castor (4228), przechodząc mrozącą krew w żyłach granią (30 cm szerokości). Gdy przechodziliśmy po niej, zarówno na lewo,

jak i na prawo spadek był na tyle duży, że wystarczyło jedno potknięcie czy nieuwaga, żeby zjechać 450 metrów na dół, zatrzymując się zapewne w jakiejś przykrytej śniegiem szczelinie. Na szczęście nikomu nie było dane przetestować tej wielkiej zjeżdżalni, ani głębokości ukrytych pod śniegiem szczelin. 7 sierpnia z kolei szliśmy grzbietem Breithornu (4164), gdzie co i rusz trzeba było poręczować drogę, wspinać się po skałkach i zjeżdżać na linie. Emocji nam nie brakowało, szczególnie, że niektóre zjazdy były ponad czterdziestometrowe!



40 metrów zjazdu do przełęczy...

8 sierpnia to dzień względnego odpoczynku, kończący część pierwszą naszej wyprawy, a zaczynający część drugą – wyprawę na Mont Blanc. Wczesnie rano zwinęliśmy nasz obóz i zaczęliśmy schodzić do samochodu do Saint Jacques. Po drodze znów minęliśmy dwa schroniska, zatrzymaliśmy się przy strumyku i około 13:00 byliśmy w samochodzie. Następnie pojechaliśmy do Courmayeur (około 100 km), gdzie wzięliśmy w centrum sportowym upragniony prysznic i zjedliśmy prawdziwą włoską pizzę. Dalej pojechaliśmy w miejsce, gdzie planowaliśmy zostawić samochód (około 5 km od lodowca Glacier du Miage). Tam się przepakowaliśmy i ruszyliśmy naprzód. Gdy tylko dotarliśmy do lodowca du Miage, rozbiliśmy namioty na wielkich głazach i szybko poszliśmy spać, gdyż następny dzień miał być bardzo intensywny.

Droga włoska uchodzi za jedną z najtrudniejszych dróg niewspinaczkowych na szczyt Mont Blanc. Zwana jest również „drogą papieską”, ponieważ w 1890r. wytyczył ją wraz ze znajomymi słynny alpinista, Achille Ratti – późniejszy papież Pius XI. Szczególnie niebezpieczna jest późnym latem. Jej południowa ekspozycja sprawia, że wszystkie mostki lodowe są pozarywane, a szczeliny osiągają gigantyczne rozmiary. Ponadto co chwilę dochodzi do sporych lawin kamienisto-śnieżnych, spowodowanych słabo związaną, wytopioną pokrywą lodowcową. Przebieg drogi (w telegraficznym skrócie) jest następujący: z miejscowości Courmayeur (1500 m.n.p.m) należy udać się na zachód, aż pod sam lodowiec Glacier du Miage (1900), a następnie iść cały czas jedną z moren bocznych lodowca, kierując się na północny- zachód, około 10 km. Po drodze należy minąć Glacier du Mont Blanc i Glacier du Dome. Następnie za lodowcem du Dome, na wys. 2500 m n.p.m należy odnaleźć skalną ścieżkę – via ferratę (taką naszą Orlą Perć) i wspinać się nią, aż do schroniska, na wysokość 3072 m n.p.m.

Ze schroniska przechodzi się na Glacier du Dome i idąc cały czas na północ, dochodzi się do przełęczy (3820) i do granicy włosko-francuskiej (4050). Dalej, wzdłuż granicy, przez Dome du Gouter (4304), aż na Mont Blanc.



Michał i Paweł na eksponowanej skalnej grani.



Szczelina na lodowcu du Dome, którą przekraczaliśmy.

Obudziliśmy się o 3:00. Wiedzieliśmy, że nie będziemy mieć za wiele czasu, więc po szybkim śniadaniu i zwinieniu obozu wyruszyliśmy w drogę. Mieliliśmy przed sobą 10 km lodowca du Miage. Niestety już o 5:00 zaczęło padać. Przemoczeni, krok po kroku pokonywaliśmy błotnisto-kamienny, a później lodowo-kamienny odcinek lodowca, aż wreszcie udało nam się znaleźć ścieżkę prowadzącą do schroniska. Nie było to zadanie proste, gdyż szlak, zaznaczony na mapie, wcale nie był zaznaczony w terenie. Teraz czekał na nas najciekawszy odcinek – 600 metrów podejścia via ferratą w deszczu. Oblodzone drabinki czy łańcuchy nie były żadnym problemem, w porównaniu z wodospadami, pod które trzeba było podchodzić. Mordercza walka z siłami natury każdemu mocno dała się we znaki. Co chwilę ktoś się ześlizgiwał i obsuwał na odcinkach śnieżnych. Każdemu odmrażały ręce w trakcie podciągania się na wielkich, przemoczonych linach, z których woda spływała do rękawów i pod kurtkę. Na szczęście, około 15:00 doszliśmy do schroniska cali i zdrowi, budząc zdziwienie i lekkie przerażenie pani, która opiekowała się schroniskiem. Gdy tylko nas zobaczyła, powiedziała: „Oh

my God! Are you crazy?”. Dopiero, gdy dowiedziała się, że jesteśmy z Polski przestała mieć jakiegokolwiek wątpliwości. Ponieważ dalsza podróż w takich warunkach była niemożliwa, zdecydowaliśmy się zanoć w schronisku, w tzw. winter room. Na szczęście śpiwory nam nie przemokły. Pod wieczór zrobiliśmy jeszcze naradę co do następnego dnia i szybko poszliśmy spać.



Widok na Aiguille de Bionnassay niedaleko Mont Blanc.



Namiot na lodowcu du Dome, przywiązany i zabezpieczony przed obsunięciem.

10 sierpnia. Pobudka o 4:00 rano. Ze względu na mordercze warunki, na ostateczny atak zdecydowało się troje z nas: Marek, Michał i Paweł. Związani liną wyruszyliśmy ze schroniska. Gdy tylko doszliśmy do lodowca pojawiły się pierwsze problemy. Droga, która została poprowadzona do przełęczy, już dawno nie istniała. Mostki lodowe były zawalone, a w miejscu, gdzie kiedyś przechodzili ludzie, pojawiły się ogromne szczeliny. Niezrażeni tym faktem, staraliśmy się iść cały czas do przodu, okrążając szczeliny, wytyczając nowe szlaki i przeprawiając się po pozostałościach z mostków lodowych. Na szczęście, poza drobnymi przypadkami wpadnięcia do stosunkowo płytkich szczelin, nic groźnego nam się nie przytrafiło. Gdy tylko zbliżaliśmy się do skał, trzeba było uważać na spadające kamienie (jeden, wielkości sporego plecaka, przeleciał 3 metry od nas!), a podchodząc pod nawisy śnieżne na lawiny seraków. Co

5 minut słyszeliśmy schodzącą lawinę kamienną, śnieżną, czy lodową, która niczym salwa z dział armatnich dawała o sobie znać. Około godziny 13:00, gdy udało nam się przejść przez główny odcinek „labiryntu”, pojawiła się nowa trudność – mgła. Błyskawicznie widoczność ograniczyła się do 30 metrów, co skutkowało tym, że osoby będące na skrajach liny ledwie się widziały. W tym momencie umiejętności terenoznawczo-topograficzne przewodników SKG przydały się jak nigdy wcześniej. Przez prawie 3 godziny szliśmy tylko i wyłącznie z kompasem, wyznaczając azymut, starając się oszacować kierunek marszu i pokonywaną odległość. Około 16:00, zdecydowaliśmy się rozbić obóz i przeczekać mgłę, która coraz bardziej uniemożliwiała dalszy marsz. Niestety do wieczora warunki się nie poprawiły, a więc plan podejścia do przełęczy odłożyliśmy na dzień kolejny. Zasypialiśmy, a do snu co chwila kołysały nas schodzące w okolicy lawiny i lawinki.

11 sierpnia 2015r. Pobudka wcześniej rano. Pogoda kapitalna – nie ma mgły, nie pada, niesamowita przejrzystość powietrza – widać wszystko! Widać też, że rozbiliśmy nasz namiot nad przepaścią. Choć był to widok mrozący krew w żyłach, niespecjalnie mieliśmy czas, żeby go kontemplować, gdyż należało wykorzystać nadchodzący, piękny dzień. Cel pierwszy: wejść wreszcie na przełęcz (3820) i dojść do granicy francuskiej. Gdy tylko to zrobiliśmy, zostawiliśmy na przełęczy namiot i cały ciężki sprzęt, a następnie podjęliśmy atak szczytowy. Choć droga była długa, momentami bardzo stroma, a ekspozycja zapierała dech w piersiach, to marsz granią sprawiał wielką przyjemność. Wreszcie nie było szczelin, ani odpadających seraków, a dzięki znakomitym warunkom, 1000 metrów podejścia upłynęło bardzo szybko i już około 13:30 stanęliśmy na szczycie. Wielka walka została nagrodzona. Chwila dla fotoreporterów i od razu schodzimy na dół. Niektóre fragmenty udało się pokonać zjeżdżając z czekaniem w rękę. Około 17:00 byliśmy z powrotem przy naszym ekwipunku, który zostawiliśmy na szlaku, a o 19:00 zeszliśmy z przełęczy na lodowiec du Dome, gdzie (tym razem w nieekspozowanym miejscu) rozbiliśmy namiot. Następnego dnia czekało nas ponowne pokonanie labiryntu szczelin, wizyta w schronisku, via ferrata i 10 km marszu lodowcem du Miage do samochodu.



Marek, Michał i Paweł na Mont Blanc.

Wyprawę – choć została okupiona cierpieniem, bólem,

potem i mocnym wychłodzeniem – uważamy za zakończoną pełnym sukcesem. Co warto podkreślić, zgodnie z relacją pani w schronisku, byliśmy jedyną ekipą, która w sierp-

niu 2015 roku zdobyła Mont Blanc drogą włoską. Na Dachu Europy ponownie pojawiła się flaga SKG! ■

Spitsbergen marzeń

Magda Czarnecka

Ponad dwa lata temu na forum internetowym SKG pojawiło się ogłoszenie pod tytułem „Praca marzeń”. Anons dotyczył wyjazdu wakacyjnego i całorocznego do Polskiej Stacji Polarnej na Spitsbergenie. Rekrutacja obejmowała różne stanowiska, w tym administratorki na lato. Tak rozpoczęła się moja przygoda z Hornsundem. Wysłałam CV, list motywacyjny, zostałam zaproszona na rozmowę, na której powiedziałam, że jeśli mnie nie wezmą, to się przykuję do kaloryfera. Zaowocowało to miejscem na liście rezerwowej. W tym roku ponownie odpowiedziałam na ogłoszenie i dostałam „pracę marzeń”. Jako administratorka byłam odpowiedzialna za pomoc naukowcom przyjeżdżającym na wakacyjne badania terenowe, sprawy biurokratyczne i kontakt z działem logistycznym w Warszawie.

Wyjazd poprzedzony był kursem strzeleckim (obowiązek noszenia broni, ze względu na bezpieczeństwo – do obrony przed niedźwiedziami polarnymi), badaniami lekarskimi i tygodniowym rejsem statkiem „Horyzont II”, zwanym też „Rzygaczem”, gdyż z powodu niedoskonałości konstrukcyjnych statek kiwa się chyba nawet stojąc na lądzie. Nadmienię tylko, że podróż powrotna trwała prawie dwa tygodnie. „Horyzont II” dopływa do stacji dwa razy w roku, dostarczając zaopatrzenie żywnościowe i techniczne na kolejne miesiące. W międzyczasie mieszkańcy stacji są zdani na swoje zasobne magazyny i siebie nawzajem.



Budynek Stacji – adres Hornsund 1. Fot. Dominika Słowik.

Spitsbergen to największa wyspa w archipelagu Svalbard, terytorialnie przynależy do Norwegii. Leży za północnym kołem podbiegunowym, a dokładnie na 77° N. Z Polski można dolecieć (z przesiadką) do stolicy archipelagu, Longyearbyen, jednym z dwóch codziennych samolotów rejsowych, a następnie wynajętym jachtem dopłynąć do stacji. Nie można się jednak w niej zatrzymać na nocleg, gdyż jest placówką naukowo-badawczą.

Polska Stacja Polarne Hornsund została założona w 1957 roku przez Stanisława Siedleckiego. W tym ro-

ku miało miejsce uroczyste zawieszenie portretu profesora w pokoju wspólnym w bazie, co jest dowodem uznania zasług profesora. Siedlecki był geologiem, taternikiem, odkrywcą. W owym 1957 roku dowodził ekspedycją polarną PAN, która wybudowała stację. W latach 70. Polacy prowadzili ekspansję także na półkuli południowej zakładając stację im. Arctowskiego na Antarktyce.

Jak wygląda przeciętny letni dzień w stacji? Z racji dużej liczby osób, śniadania podawane są w dwóch turach, o godzinie 8:00 i 8:30. Przygotowuje je kucharz, pomocnik oraz dyżurny. Po posiłku jest spotkanie dnia, na którym pracownicy stacji ustalają plan i potrzeby codzienne. Do obiadu, czyli do 14:30 lub 15:00 każdy realizuje swoje zadania. Pracownicy naukowcy prowadzą swoje badania i wykonują pomiary, np. poziomu wód, meteorologiczne, oceanograficzne. Pracownicy techniczni zajmują się badaczami-gośćmi, wykonują remonty, usprawniają funkcjonowanie spalarni i oczyszczalni ścieków. Po obiedzie jest chwila sjesty, a następnie do kolacji kontynuowane są wcześniejsze prace. Wieczorami kwitnie życie towarzyskie w mesie. Oglądane są filmy, organizowane potańcówki, turnieje sportowe, gra się w planszówki. Co ambitniejsi układają sobie plany treningowe w siłowni.

Temperatura letnia w Hornsundzie wynosi mniej więcej 5°C, co sprawia, że stacja staje się łakomym kąskiem dla dziennikarzy telewizji śniadaniowych, tropiących Polaków, którzy nie umierają z powodu upałów (jak reszta świata). Tego lata mieliśmy transmisję „na żywo”. Nasza przedstawicielka dzielnie udzielała odpowiedzi na najróżniejsze pytania. Dociekliwą dziennikarkę interesowało np. czy mamy złą pogodę. Dowiedziała się, że nie ma złej pogody, są tylko źle przygotowani ludzie.

Podsumowując mój pobyt – przeżyłam najdłuższy dzień w życiu, trwający kilka miesięcy. Przez pierwszy tydzień miałam problemy z zaśnięciem, ale wystarczyło chodzić spać o stałej porze i zakrywać rolety, żeby oszukać swój organizm.



Renifer na tle Arie. Fot. Kacper Wojtysik.

Spotkałam trzy niedźwiedzie polarne oraz nieskończoną liczbę reniferów. Pieszczołtliwie nazywane „miśki” stanowią realne zagrożenie życia. Stąd też obowiązkiem noszenia broni, na wypadek ataku. Renifery są moimi ulubio-

nymi zwierzętami. Płochliwe, nieświadome swojej masy, małe „łajtłapy” z krzywymi nogami. Uciekają kręcąc zamasyście zadkami.

Najbardziej drapieżne na Spitsbergenie okazały się ptaki, które chroniąc swoje młode potrafią dziobać po wystającej lufie broni lub nawet po głowach nieroztropnych wędrowców, którzy zbliżą się do gniazd. Problem polega na tym, że jaja pochowane są w tundrze tak, że czasami jest już za późno na ucieczkę, zarówno przed ptakiem, jak i jego amunicją.

W trakcie pobytu widziałam pierwszą w tym sezonie zorzę polarną, delikatną smugę zieleni na nocnym niebie. Trzy razy kąpałam się w Morzu Norweskim, które mroziło całe ciało. Trudno nazwać kąpielą szybki bieg ze stacji do morza, zanurzenie i jeszcze szybszy powrót. Biegi miały dodatkowy element ekscytacji w postaci kamery przed budynkiem, która co 10 minut transmituje w Internecie aktualny widok stacji.

Odwiedziłam okoliczne husy, czyli domki traperskie przypominające nasze górskie chaty studenkie. Niekiedy w weekendy osoby, które miały uprawnienia do pływania łodzią lub pontonem zabierały nas drogą morską do owych husów. Braliśmy wtedy śpiewniki, gitarę i przy blasku świec, w cieple z piecyka, śpiewaliśmy do rana nastrojowe ballady. Raz nawet obudziło nas lekkie, lokalne trzęsienie ziemi, gdyż Svalbard jest aktywny tektonicznie.



Hornsund zavalony lodem. Fot. Kacper Wojtysik.

Sekcja Wysokogórska SKG w Alpach

Magda „Maluch” Wierzbicka

W tegorocznej Akcji Lato członkowie Sekcji Wysokogórskiej SKG obrali sobie za cel szczyty alpejskie. Na początku sierpnia dwie niezależne grupy wyruszyły samochodami na zachód. W pierwszej, mocna pięcioosobowa męska ekipa podjęła wyzwanie najwyższej europejskiej góry Mont Blanc (4810 m n.p.m.) ale nie o niej jest ten artykuł. Nadmienię jedynie, że dzielni chłopcy, mimo niesprzyjającej aury, wrócili z sukcesem w plecaku.

Niniejsza relacja skupia się na wyprawie drugiej ekipy, w której skład wchodził: Magda „Maluch” Wierzbicka, Stefcia, Ola Kołodziejczyk oraz Michał Stachura. Naszym celem miała być nie mniej dostojna góra Monte Rosa, lecz nie na nią finalnie został ustalony kurs. Przed wyjazdem rozdzieliliśmy między sobą zadania do zrobienia, tj. zebranie informacji o schroniskach, warunkach na szlakach,

Zdobyłam ciekawe okoliczne szczyty mające po 400, 500, 600 i 700 metrów. Górskie eskapady miały wyjątkowy smak cudownej wolności i uczucia ogromu przestrzeni – górskiej, morskiej i lodowcowej. Wychodząc za stację, w 30 minut można było wbiec na 400-metrową przełęcz, z której widok zachwycał surowym pięknem. Wielokrotnie byłam na Lodowcu Hansa, w tym pierwszy raz jeździłam na skuterze śnieżnym i nartach turowych. Jadąc skuterkami przeskakiwaliśmy nad szczelinami, więc trzeba było się odpowiednio rozpędzić i zręcznie manewrować żeby nie zostać w takiej szczelinie na zawsze. Z kolei kilkunastogodzinna wyprawa na nartach turowych we mgle i deszczu była elementem comiesięcznych pomiarów na lodowcu.

Hornsund – Polski Dom na Biegunie, przyciąga niesamowicie zakręconych ludzi. W trakcie mojego pobytu odwiedziła nas rodzina z trójką małych dzieci podróżująca jachtem aż z Francji. Moje serce podbiła jednak trójka kajakarzy (dwóch panów i jedna pani) okrążających archipelag Svalbard (udało im się tego dokonać jako pierwszym w historii). Pewnego wieczoru zapukali do naszych drzwi pytając czy mogą rozbić namiot. Poprosiliśmy ich o krótki pokaz zdjęć i filmików z dotychczasowej podróży i dzięki temu widzieliśmy zapis goniących ich i pływających na krach lodowych miśków, bawiące się kajakiem foki, oraz kawał dzikiego piękna Arktyki.

W drodze powrotnej przeżyłam sztorm o sile 12 stopni w skali Beauforta. Statek osiągał niesamowite wychylenie, a przymocowana w kajucie szafa wyrwała się ze ściany. Umierając z powodu choroby morskiej, miałam do wyboru: albo zostać na niższym łóżku i zginąć przywalona szafą, albo przenieść się na wyższe łóżko i mieć ograniczony dostęp do łazienki. W trakcie sztormu, statek i pasażerowie odnieśli liczne straty, wśród których można wymienić choćby rozcięty łuk brwiowy czy zepsuty komputer.

Pod koniec września ekipa letnia opuściła jedenastkę zimowników, którzy już do wiosny (kiedy odmarznie lód w zatoce, a lodowce będą przejezdne na skuterach śnieżnych) będą żyli sami ze sobą, na złe i dobre, doświadczając nocy polarnej, widma głodu i grozy arktycznej.

(Korzystałam z książki I. Wiśniewskiej „Białe. Zimna Wyspa Spitsbergen”, wyd. Czarne) ■

zakup liofów, ubezpieczenia, apteczki itp. Na spotkaniach sekcji omawialiśmy zdobyte informacje, ustalaliśmy dalsze kroki, kosztorys i trasę wędrówki, by w czerwcu mieć opracowany bardzo przyjemny plan trekkingu po lodowcach, ze spaniem w schroniskach alpejskich oraz główną gwiazdą programu: szczytem Monte Rosa położonym w Alpach Pennińskich.

Na nasze nieszczęście, im bliżej do wyjazdu, tym prognozy na ten rejon Alp były coraz gorsze. Nie mogliśmy niestety wyjazdu odłożyć w czasie, zatem zapadła decyzja, że jedziemy w piątek po południu do Monachium i w zależności od prognozy pogodowej zdecydujemy o dalszej drodze. Cały region Alp włoskich i francuskich znajdował się pod wpływem ciągłych opadów, ale słońeczko dopisywało na południu, czyli w Austrii. W sobotę nad ranem, siedząc w kawiarence z Wi-Fi, zdecydowaliśmy, że naszym celem

będzie Grossglockner, najwyższy szczyt Austrii, o wysokości 3798 m n.p.m. Znajduje się on w Glocknergruppe, podgrupie górskiej Wysokich Taurów, części Alp Centralnych. Wznosi się ponad lodowcem Pasterze.



Przygoda zaczyna się na parkingu w Warszawie. W tle Jarek, wypakowany sprzętem po brzegi.

Droga w komfortowym Jarku (Autko Malucha, Toyota Yaris) zleciała nie wiadomo kiedy, ale największe wyzwanie dla tego samochodu było dopiero przed nami. Zapakowany po dach, dzielnie wspinał się „na dwójeczce” po niesamowicie widokowej alpejskiej drodze wysokogórskiej Hochalpenstrasse – Grossglocknerstrasse. To najbardziej malownicza droga w Austrii: pnie się serpentynami do krainy wiecznego śniegu, przecinając kolejne strefy geograficzne i klimatyczne. Na odcinku 50 kilometrów pokonuje się różnicę poziomów wynoszącą 1766 metrów! Zaznaczę tylko, że Maluch siedząca za kierownicą, wjechała to wjechała, ale gdy przyszło do zjeżdżania w dół, przy zapachu śmierdzącego sprzęgła, doznała jakiegś 100-ty zawałów serca!



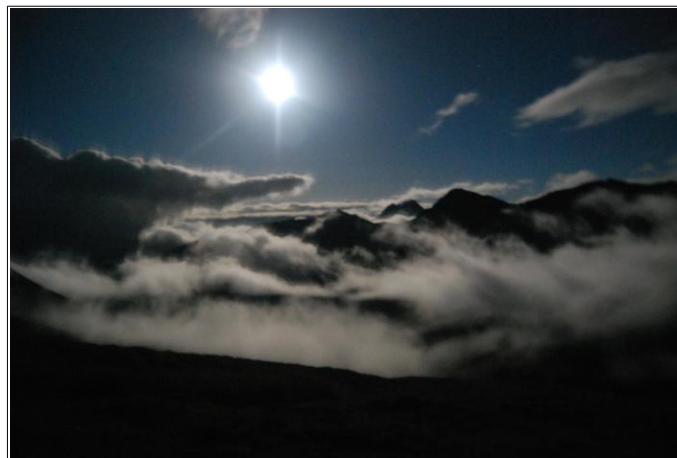
Po seprentynach chwila przerwy na tarasie widokowym na Hochalpenstrasse.

Wracając do wyprawy. W sobotę po południu pozostawiliśmy autko pod dachem parkingu przy schronisku Franz Josefs Höhe i wyruszyliśmy wreszcie w góry. Dla lepszej aklimatyzacji chcieliśmy się przespać w wyżej położonym schronisku, by kolejnego dnia zejść niżej i przekroczyć lodowiec. We mgle (na szczęście szlak był tam dość dobrze oznaczony) późnym wieczorem docieramy do schroniska. Doceniliśmy bardzo zniżki, jakie daje członkostwo w Alpenverein i w całkiem przyjemnych warunkach

spędzamy noc powyżej 3000 m n.p.m. Następnego dnia, zgodnie z prognozami, na dobre się roz pogodziło i naszym oczom ukazał się naprawdę zapierający dech w piersiach widok na splekany jezior Lodowca Pasterze. Sporo czasu spędziliśmy po prostu gapiąc się na ten cudny obrazek, w którym czegoś nam nagle zabrakło.

Nie mogliśmy się nigdzie dopatrzyć miejsca, w którym szlak przekracza lodowiec. Zaniepokojeni tym faktem postanowiliśmy wrócić na parking i dopytać się w informacji turystycznej o stan techniczny tej drogi, w końcu z lodowcem nie ma żartów. Słusznie zrobiliśmy, okazało się, że za lodowcem w skale nie ma już tej drogi, którą chcieliśmy wejść na grzbiet. Konieczne zatem było zapakowanie się do samochodu i zjechać kawałek niżej, do miejsca w którym zaczynał się szlak zwany Glocknerrunde. Znowu wychodziliśmy po południu w góry, ale na usprawiedliwienie dodam, że świecił nam niesamowity księżyc w pełni, więc nie było potrzeby zapalania czołówek.

Droga którą wędrowaliśmy rozpoczynała się przy tamach na jeziorze, po czym dość stromo wspinała się na przełęcz, a dalej praktycznie bez zmiany wysokości trawersowała grzbiet aż do schroniska Salmhütte (2638 m n.p.m.). Około północy dotarliśmy pod drzwi małego domku z charakterystycznie pomalowanymi na czerwono okiennicami i drzwiami (tak wyglądają typowe austriackie schroniska). Przed schroniskiem zastaliśmy dwóch gospodarzy delektujących się winem w otoczeniu bajecznego krajobrazu gór w świetle księżyca.

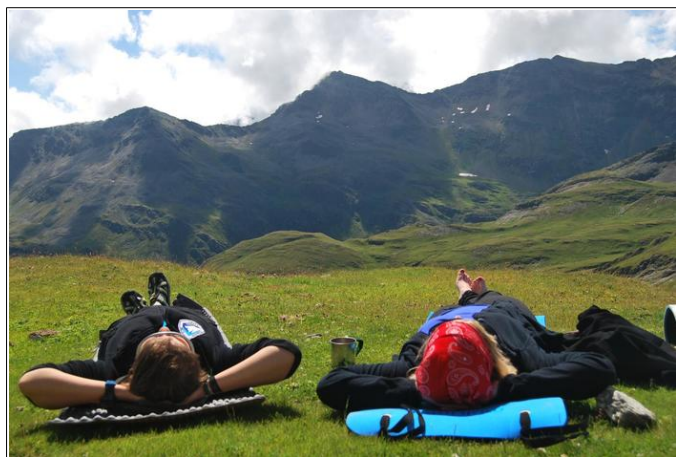


Niezapomniany nocny widok na alpejską dolinę.



Grossglockner. Widok z Salmhütte.

Bez problemu nas ugościli w tzw. lagerach, czyli miejscach na poddaszu... i zaprosili do kuchni na małe coś nieco. Łamaną angielszczyzną, ale dogadywaliśmy się przednio i do późna. Z rana nie było chętnych do wczesnego wstawania, a jak się później okazało nie było takiej potrzeby.



Pośpiech niewskazany. Sekcja odpoczywa po śniadaniu.

Śniadanie zjedliśmy na zewnątrz, w cudnym słońcu, a kawa z takimi widokami smakuje niebiańsko. Nie musieliśmy się spieszyć, ponieważ okazało się, że we wszystkich schroniskach jest konieczna rezerwacja noclegów, a my nie mieliśmy rezerwacji nigdzie. Do tej pory do miejsc noclegu docieraliśmy tak późno, że nawet nikt o to nie pytał, ale schronisko, do którego zmierzaliśmy na pewno będzie pełne. Rezerwacja była raczej niemożliwa. Uznaliśmy, że nie ma co zmieniać strategii i do niego też dojdziemy na tyle późno by nie mogli nas zawrócić.



Via ferrata w drodze na Grossglocknera.

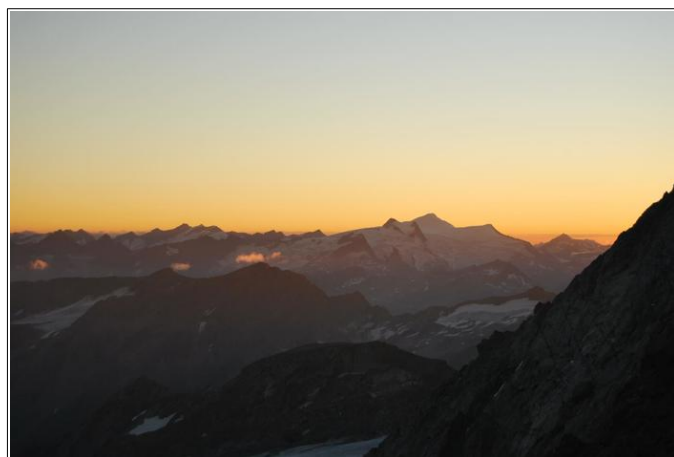
Szliśmy początkowo zielonymi halami, które powoli ustępował kamiennym gołoborzom, a później już tylko białej pościeli śniegu. Na tym odcinku mieliśmy okazję uzbroić się w uprząż i kaski, gdyż mieliśmy do pokonania ekspozowaną via ferratę.

Nad nią zaczynał się jezior lodowca, więc i raki poszły w ruch. Cała ta przeprawa dostarczyła niemało emocji, ale w końcu właśnie to tygryski lubią najbardziej.

Do schronu Erzherzog-Johann-Hütte (3451 m n.p.m.), pełnego ludzi, weszliśmy zgodnie z planem o zachodzie słońca.



Przejście przez lodowiec.



Gorąca herbata z Erzherzog-Johann-Hütte i zachód słońca z widokiem na Alpy wynagrodziły nam trudny wędrówki.

Mieliśmy sporo szczęścia, bo miejsc do spania nie było, a tam w zwyczaju nie ma spania na podłodze. Wtedy tym razem, też się udało: z jadalni gospodarz wydzielił zamkniętą część i tam, na ławach do siedzenia, mogliśmy się zdrzemnąć przed atakiem. Wschód słońca zastał nas już w drodze, ale na tyle wysoko by pierwsze promienie słońca pełznące po morzu szczytów poniżej zaparły dech w piersiach.



Ekipa o wschodzie słońca gotowa do ataku szczytowego. W tle czeka na nas Grossglockner.

Dalsza wspinaczka wiodła po skałach, w których miejscami zamontowane są uchwyty do asekuracji w postaci spitów lub prętów. Szliśmy związani dla bezpieczeństwa. Niestety nie zdobyliśmy szczytu, zawróciliśmy spod pierwszego wierzchołka Kleinglockner (3770) ze względu na późną porę i cały tłum, który bez pardonu się przeciskał. Taka ilość ludzi, na tak małej przestrzeni, to po prostu było niebezpieczne.



Tłumy na Grossglocknerze. Nieustanne mijanki i przepuszczanie grup były dodatkowym utrudnieniem na drodze...

Teraz z perspektywy czasu cieszę się, że umieliśmy podjąć decyzję o odwrocie i jej nie żałuję, bo zawsze możemy tam jeszcze wrócić. Kolejnym ważnym wnioskiem jest to, że albo trzeba się dobrze zaopatrzyć w wodę z dołu, albo mieć przy sobie sporą ilość pieniędzy, bo w tym schronisku nawet zwykła niegotowana woda jest droga.



Widok z Grossglocknera.

Kolejną noc spaliśmy normalnie w łózkach, a za dnia zeszliśmy tą samą drogą z powrotem do samochodu. Super jest wrócić z zimnego i niegościnnego otoczenia do zielonych i kwitnących łąk. W nagrodę za trudy Grossglocknera zafundowaliśmy sobie pyszną pizzę w restauracyjce w dolinie u podnóża góry. W tej restauracyjce również przenocowaliśmy, na podłodze w małej kanciapce.

Gorące prysznice i dobre jedzenie podniosły nas na duchu, więc z uśmiechami na twarzach przenieśliśmy się ku następnemu celowi tej wyprawy, którym stał się Säuleck – 3086 m n. p. m. Dzielny Jarek znów wjechał wysoko i został zaparkowany w cieniu drzew, a my malowniczą doliną

o budowie kaskadowej kierowaliśmy się do schroniska.



Znów zaczynamy od doliny... Letni upał i ciężkie plecaki towarzyszą nam w drodze do Arthur-von-Schmid-Haus.

Miejsce przez które wędrowaliśmy było niesamowite. Szlak prowadził wzdłuż górskiej rzeki w otoczeniu soczystej zieleni. Na wysokości 2281 m n. p. m. nad jeziorem lodowcowym znajduje się przytulne schronisko Arthur-von-Schmid-Haus, prowadzone przez prawdziwych pasjonatów.



Typowe austriackie schronisko z czerwonymi okiennicami.



Konie pasące się nad lazurowym jeziorem, pod letnim błękitnym niebem – taka sceneria po raz kolejny skusiła nas do odrobiny popołudniowego lenistwa...

Gospodyni była miłośniczką koni, więc wokół budynku brykały sobie dwa sympatyczne rumaki, a gospodarz był prawdziwym góraliem. Całe schronisko urządzone zostało w niesamowitym klimacie, mieli nawet małą ściankę wspinaczkową. Do dyspozycji gości była również gitara, a takiej okazji Michał nie przepuścił. Zatem wieczór upłynął przy dźwiękach gitary oraz zimnym „pifku” z widokiem na jezioro i góry w tle.



Cała ekipa na szczycie: Maluch, Michał, Stefcia i Ola.

Do wierzchołka droga nie była ani trudna, ani długa; bez lodowca – więc poszliśmy na lekko, zaopatrzeni jedynie w kije i najpotrzebniejsze rzeczy. Na szczycie znajduje się drewniany krzyż, rozłupany przez uderzenie pioruna. Sporo czasu spędziliśmy na górze, upajając się radością

zdobywcy. Nikomu nie spieszyło się do schodzenia. Zrobiliśmy sobie pamiątkowe zdjęcia i z żalem schodziliśmy w dół.

Tu na pocieszenie natura zrobiła nam niespodziankę. Poranne promienie świecące na jezioro przy schronisku, podkreśliły jego niesamowitą barwę. Naszym oczom ukazał się prawdziwie magiczny, lazurowy staw.



Ostatnie spojrzenie na lazurowe jezioro przed zejściem i powrotem do Warszawy.

Po powrocie do schroniska, spakowaliśmy się i wracaliśmy do samochodu, by jeszcze tego dnia wyruszyć ku Warszawie. Alpy to takie większe Tatry, zdecydowanie nie raz tam jeszcze zawitamy. ■

Gdzie te góry?

Podróż po mongolskich bezdrożach

Lukasz Sarnacki

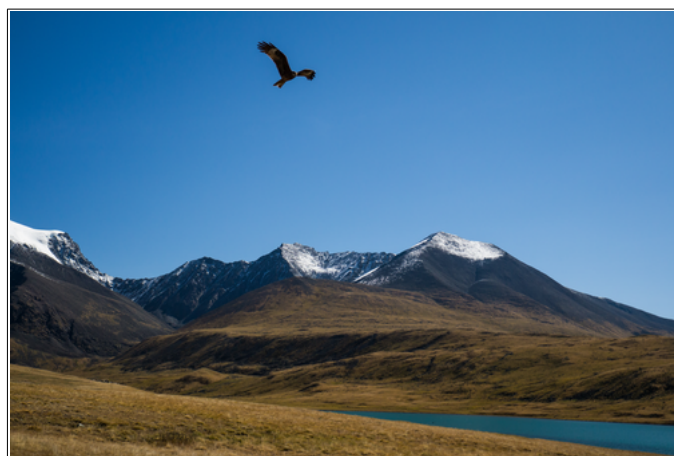
Do Mongolii jedziemy pod koniec lipca w ogromnej, bo aż dziewięcioosobowej grupie. Żeby się tam dostać pokonujemy 1500 km samolotem i ponad 4000 drogą lądową (kolej transsyberyjska, marszrutki i taksówki). To około 4 dni ciągłej jazdy.

Mongolia, raj, do którego trzeba było tyle jechać, wita nas widokiem drogi, która zmienia się z asfaltowej w szutrową zaraz po przekroczeniu granicy z Rosją, zapadłymi wioskami, które mijamy i wszechobecnym pyłem, ale także widokiem pięknych rozległych stepów i gór majaczących w oddali. Wita nas jak przystało na kraj trudny i fascynujący zarazem.

W Olgii, jedynym większym mieście w drodze od granicy, zatrzymujemy się tylko na kilka godzin, żeby znaleźć kierowcę, który dowiezie nas do wioski Hotgor, czyli miejscy, z którego rozpoczniemy wędrówkę w góry Turgen.

Przez kilka kolejnych dni wędrujemy rozległą doliną pociętą strumieniami. Ostatni ludzie jakich spotykamy to Mongołowie nazywający siebie „rangerami”. Sprzedają nam bilety wstępu do parku narodowego. Jeden z nich mieszka ze swoją rodziną w jurcie znajdującej się w najdalszym miejscu, do którego można dojechać samochodem. To tam po raz pierwszy zostajemy poczęstowani mongolskimi serami i pieczonymi w głębokim tłuszczu ciastkami, które ochrzczimy później mianem pączków, faworków lub ptysiów. Niektóre sery przypominają trochę nasz twaróg,

inne mają konsystencję kamienia i cierpki smak. Z konsternacją próbujemy sobie na nich nie połamać zębów. Kupujemy trochę pączków i sera, a potem ruszamy w drogę. Ostatnie kilka dni spędziliśmy w podróży siedząc lub leżąc i naprawdę nie chcemy się zatrzymywać.



Mongolia to kraj piękny i dziki, jak drapieżne ptaki, które towarzyszyły nam w podróży.

Z każdym dniem krajobraz zmienia się, coraz bardziej. Ognisko, które rozpalamy pierwszego dnia wędrówki górskiej, okazuje się być ostatnim ogniskiem jakie uda nam się rozpać w Mongolii. Następne będzie dopiero nad jeziorem Bajkał w Rosji. Gdybyśmy o tym wiedzieli, to prawdopo-

dobnie docenilibyśmy każdy jego płomyk o wiele bardziej. Małe laski coraz bardziej marnieją, ustępują miejsca trawom, żeby później zupełnie zniknąć z otaczającego nas krajobrazu.

Dochodząc do przełęczy, która leży mniej więcej w połowie naszej trasy, widzimy po drugiej stronie rzeki kilka wielbłądów prowadzonych przez Mongołów na koniach. Po jakimś czasie nasze wątpliwości na temat tego skąd tu się wzięły zostają rozwiane – widzimy grupę kilkunastu osób wędrujących z małymi plecakami. To jedyni turyści jakich spotkamy w tych górach. Rzeka jest rwąca i ma strome urwiska, ale Piotrek podbiega, żeby z nimi porozmawiać. Okazuje się, że to grupa Szwajcarów, Austriaków i jednej Polki, którzy mają znacznie bardziej ekstrawagancki pomysł na podróżowanie po Mongolii niż my. Życ, nie umierać (o ile jesteś Szwajcarem, a nie wielbłądem).



W ramach odpoczynku – przejażdżka na wielbłądach.

Przełęcz zaskakuje nas jeszcze bardziej niż widok turystów. Gdy wspinamy się na górę, zaczyna padać śnieg. I tak kraina błękitnego nieba, jak czasem jest nazywana Mongolia, beczelnie atakuje nas śniegiem w oczy. Na błękitne niebo przyjdzie nam poczekać. Tylko jedną noc, ale za to bardzo długą i zimną. Rano budzimy się skostniałymi i widzimy, że nasze namioty, jak i cała okolica pokryte są solidną warstwą zmrożonego śniegu. Przez chwilę zastanawiam się, czy to nie zimówka, ale dochodzę do wniosku, że to pogodzie się pomieszało, a nie mi.

Po ciężkim poranku leniwie ruszamy w stronę doliny wielu jezior (którą błędnie określamy doliną tysiąca jezior). Po drodze czeka nas nagroda za trudy ostatniej nocy – już z oddali widzimy majaczącą w oddali jurtę.

Nieopodal jurty zdejmujemy plecaki i czekamy na to co się stanie. W Mongolii ciągle funkcjonuje niepisane prawo gościnności, które nakazuje przyjąć każdego wędrowca chcącego skorzystać z gościny. Już po kilku chwilach przekonujemy się, że nie jest to martwe prawo i gospodyni zaprasza nas do środka, gdzie mieszka z mężem, trójką dzieci i dwoma nastoletnimi chłopakami.

Zostajemy poczęstowani tradycyjną mongolską herbatą i serami. Sposób przyrządzania herbaty jest różny dla różnych regionów, ale jest to zazwyczaj zielona herbata z mlekiem i odrobiną soli. Już wiemy, żeby sięgać raczej po sery, które zostały zrobione w ładnych foremkach, a nie prostokątne twarde kawałki, które są przygotowywane na zimę: długo suszą się na słońcu. Mongołowie twierdzą, że

dzięki jedzeniu takich serów, mają mocne i zdrowe zęby. Nasze europejskie zęby są zdecydowanie nieprzystosowane do twardego jak kamień sera, a nikt nie wpada podczas całego pobytu w Mongolii na pomysł moczenia go w herbacie (co, jak się później dowiemy, jest również jednym ze sposobów jedzenia tak twardego sera).

Szybko przekonujemy się, że Rozmówki mongolskie, to cenna rzecz, nawet jeśli nie umiemy poprawnie wymówić prawie żadnego słowa – dzieci szybko je nam zabierają i fundują nam przyspieszony kurs mongolskiego, z którego udaje nam się zapamiętać kilka słów. Czas mija szybko i w końcu decydujemy się, że trzeba iść dalej. Mongołowie z reguły nie chcą przyjmować pieniędzy od turystów (chyba, że świadczą usługi turystyczne), więc jeśli chce się im zostawić pieniądze z wdzięczności za gościnność, trzeba je niepostrzeżenie schować tak, żeby później łatwo mogli się na nie natknąć. Dajemy im w prezencie talię kart i wsuwamy trochę pieniędzy pod dzbanek z herbatą. Na pożegnanie robimy sobie z nimi zdjęcie i ruszamy w dalszą drogę.

Wieczorem czeka nas druga niespodzianka: malowniczo położone jezioro z ośnieżonymi szczytami górskimi w tle. Dwie osoby są lekko kontuzjowane (starość nie radość, trzeba jednak myśleć o tych wielbłądach), a okolica magiczna, więc decydujemy się na zostanie tu jeszcze dzień dłużej i wycieczkę na pobliską górę, która zostaje wtedy nazwana: „Dzika Kuna” (nie pytajcie).



Historyczne zejście z góry nazwanej przez nas „Dziką Kuną”.

Przed nami kolejna przełęcz, która ciągnie się kilometrami. Kojarzycie pewnie takie miejsca gdzie horyzont zdaje się uciekać za każdym razem, gdy wydaje się, że już zaraz dojdzie się do najwyższego punktu. Jako, że jesteśmy w Mongolii, to „już zaraz” oznacza kilka godzin marszu. Schodząc z przełęczy widzimy rozległą dolinę i staramy się policzyć jurty, które są wtedy jeszcze małymi punktami w oddali – jest ich co najmniej dziewięć.

Pada pomysł pożyczania koni i dojechania do najbliższego miasteczka konno. Okazuje się to o tyle trudne, że w „wiosce” zdaje się nie być żadnego dorosłego. Dziewczyna z jednej z jurt, którą jeszcze przed chwilą widzieliśmy w koszulce „Nike”, wychodzi do nas w tradycyjnym stroju mongolskim i częstuje serami. Nasze mocno ograniczone możliwości komunikacyjne sprawiają, że odpowiedź na proste pytanie „kiedy wrócą dorośli?” staje się niemoż-

liwa do uzyskania. Dowiadujemy się jedynie, że pasterze (to najlepszy substytut słowa „dorośli” jaki znajdujemy) są wszędzie, co dziewczyna mówi nam na migi. Dlatego stosujemy znaną taktykę: zostajemy i czekamy na to co się stanie robiąc obiad i rozstawiając namioty. Wieczorem nie udaje się wypożyczenie koni (nie mają aż tylu zwierząt do jazdy), ale udaje się zjeść przyrządzony przez Mongołów posiłek (choć tylko niektórzy się odważają, gdyż wśród Mongołów za rarytas uchodzą szczególnie podroby) i prawie wydać Grażynę za mąż.

Naszą wycieczkę górską kończymy w miasteczku Tariat, które wygląda jak większa wioska, ale zaskakuje nas darmowym WiFi. Mają też rondo, po którym nikt zdaje się nie jeździć, i obowiązkowo bar karaoke. Stamtąd chcemy się dostać do stolicy ajmaku: Ulaangom. Naszym celem będzie Kharkhorin, a później stolica Mongolii – Ulaanbaatar. To łącznie około 1500 kilometrów po trudnych mongolskich drogach (i bezdrożach). Trzeba bardzo uważnie wybrać sobie kierowców, dlatego wybieramy pierwszych, których spotykamy (nie chcą się nawet za bardzo targować).

W Ulaangom, niektórzy zjedzą swój pierwszy posiłek w mongolskiej knajpie (wcześniej nie wszyscy mieli na to czas). Wybieramy pozycje z menu z należytą uwagą – kompletnie losowo. Mongolskie jedzenie, które można kupić w restauracjach czy barach składa się głównie z mięsa. Formę zapychacza pełni ryż, makaron albo oba naraz. Warzywa to prawdziwy rarytas. Zwykle trzeba się zadowolić kilkoma skrawkami marchewki lub małym ziemniakiem, a czasem warzyw nie ma wcale. Brzmi jak marzenie senne każdego wielbiciela mięsa, który gardzi wszystkim, co zielone, ale wkrótce to marzenie przerodzi się w koszmar.



Mongolskie drogi wielopasmowe.

Sześć kolejnych dni spędzamy głównie w UAZie 452, czyli jednym z najpopularniejszych samochodów terenowych w tym kraju. Jest bardzo głośny i nie tak wygodny jak niektóre jeepy, ale ma jedną ogromną zaletę: pomieści całą dziewiątkę (z kierowcami moglibyśmy stworzyć drużynę piłkarską). Dopiero jadąc mongolskimi drogami i bezdrożami możemy dokładnie poczuć, co oznacza hasło opisujące Mongolię w przewodnikach. Tu naprawdę czuć, że ten kraj to „vast areas of nothingness” (w wolnym tłumaczeniu: rozległe krainy nicości). Zaludnienie Mongolii to niecałe 2 osoby na km², ale znaczna część populacji mieszka w stolicy, co sprawia, że step jest jeszcze bardziej wy-

ludniony. Teraz dogłębnie rozumiemy też gościnność Mongołów – dzisiaj ja pomogę tobie, jutro sam mogę potrzebować pomocy gdzieś na szlaku. A o potrzebę pomocy nie jest trudno. Mongolia to trudny kraj, gdzie ciężko o wodę i łatwo o problem z samochodem.

Podczas tych 6 dni na zmianę przeżywamy kolejne przygody i nudzimy się próbując zabić czas grając w karty, czytając książki i śpiewając. Przekonujemy się, że nasi kierowcy nie są do końca rozgarnięci, gdy przez ponad godzinę błądzimy w poszukiwaniu największej w Mongolii jaskini, a wieczorem, gdy szukamy miejsca na nocleg, jeden z nich pokazuje nam przetłumaczone słowo na swoim telefonie komórkowym: „benzyna” (w domyśle: brak benzyny). Możliwe, że ratuje nas butelka, którą trzymaliśmy do kuchenki benzynowej. Dowiadujemy się jak to jest jeździć samochodem na azymut, kiedy zjeżdża się z drogi, która odbija w złą stronę i jedzie na przełaj aż do napotkania kolejnej drogi. Zakupujemy się UAZem w brodzie, z którego nie możemy wyjechać, a później sami pomagamy innym. Propagujemy w przerwach frisbee. Znajdujemy wulkan (poszło lepiej niż z jaskinią). Czasem oglądamy krajobrazy jakby wyjęte z westernu amerykańskiego, czasem postapokaliptycznego filmu „Mad Max”, a nawet góry, które wyglądem przypominają nam powierzchnię Marsa. Przeżywamy chwile grozy, gdy kierowcy na naszych oczach rozbierają część silnika, gdy samochód nie chce zapalić. Spędzamy jeden z wieczorów na śpiewaniu – raz my śpiewamy piosenkę po polsku, a raz oni śpiewają po mongolsku. I jemy buzy, czyli pierogi z grubo mielonym mięsem. To jedyny posiłek, który widnieje w menu mijanych jadłodajni. Na początku smakują nawet nieźle, pod koniec podróży nie możemy już na nie patrzeć.

Po 6 dniach dojeżdżamy do Kharkhorin – miasta, które słynie z największego w Mongolii kompleksu świątynnego – Erdene Zuu. Po świątyniach oprowadza nas przewodniczka mówiąca po angielsku. To naprawdę miła odmiana po tylu dniach rozmów na migi, rysowania i pokazywania pojedynczych słów w rozmówkach.

W Kharkhorin rozdzielamy się na 2 grupy – jedna z nich będzie czerpała wiele radości z kolejnych 1600 km, które trzeba nadłożyć, żeby dostać się na pustynię Gobi. Druga grupa, w tym ja, wybiera substytut pustyni dla leniwych – wydmy.

W końcu mamy czas na odrobinę lenistwa. Wybieramy się na wycieczkę konną, która podoba mi się do momentu, w którym przekonuje się, że mój koń galopuje nie dlatego, że tak mu rozkazałem, ale dlatego, że tak mu się podoba i długo muszę z nim walczyć, żeby zaczął mnie słuchać. Jeszcze lepszego konia ma Piotrek, który jeździ konno pierwszy raz. Jego koń jak przyklejony galopuje za moim, cokolwiek by się nie działo. Jeździmy też na wielbłądach, ale okazuje się, że to zdecydowanie mniej ekscytujące, niż jazda konno, mimo całej egzotyki związanej z wielbłądami.

Ostatnim punktem podróży w Mongolii jest stolica – Ulaanbaatar. Już dużo wcześniej, podczas poruszania się na wschód, czyli w stronę stolicy, zauważamy, że miasta są większe, a wyposażenie jurt, do których wchodzimy, bogatsze. Coraz bardziej powszechne na stepach staje się taki obrazek: jurta, obok panele słoneczne i satelita. W miastach pojawiają się nawet blokowiska, które mogłyby rów-

nie dobrze stać w Polsce, gdyby nie liczyć jurt stojących przy niektórych blokach. Sama stolica jest miastem kontrastów, gdzie moda i nowoczesność miesza się z kulturą i tradycją mongolską. Tutaj możemy zjeść potrawy zawierające upragnione warzywa inne niż ziemniaki, porządnie się umyć i przespać się we względnie wygodnym łóżku.

Po drodze do Polski zatrzymujemy się nad Bajkałem. Czuję się, jakbym znalazł się w innym świecie. Nad oczekiwanym tak długo ogniskiem smażymy obowiązkowe-

go omuła (ryba, która występuje tylko w jeziorze Bajkał) i długo dyskutujemy wpatrując się w płomienie.

Mongolia wydaje się coraz bardziej odległa. Przy ognisku nad zielonym brzegiem Bajkału jeszcze bardziej uderza, że to kraj inny niż wszystko, co dotychczas widziałem. Tak rozległy, że miesiąc wydaje się być chwilą na szybkie zerknięcie i tak ciekawy, że chciałoby się wrócić, choćby tylko na chwilę. ■

Historie z dna szafy

Wiecie co... wróciłem do Budapesztu i czułem się jakoś nieswojo. Coś, coś bardzo ważnego oddaliło się, czegoś wręcz brakowało w moim życiu. Niby wszystko jak zwykle, słońce przetacza się gdzieś nad chmurami, leje, wieje itp. Długo próbowałem przywrócić się do rozsądku, czasami udawało się przytłumić do granic postrzegalności te fałszywe tony zakłócające melodie spokojnego samopoczucia. Coraz chętniej nadrabiałem swoje półroczne zaległości w konsumpcji węgierskiego piwa, częściej odwiedzając ulubione placówki poświęcone tej czynności niż kiedykolwiek wcześniej.

Nie wiem do czego by doszło, jakby nie moja mama...

Pewnego dnia wracam z uczelni do domu, mama w kuchni coś zmywa, coś długo obraca, szoruje, płucze z hałasem i od nowa to samo. Stoi do mnie plecami, więc dopiero po dłuższej obserwacji, jakby rażony gromem, poznaję bolesną prawdę. Mama wyczyściła moją (tak naprawdę naszą) menażkę do szczerego aluminium, do połysku! Trudno, stało się, nie ma się co gniewać, okopci się ponownie, "No dobraaa, no hmm... Dzięki Mamo...!"

W chwili szoku trafiła do mnie myśl, taka nowa, nosząca sporą dawkę otuchy. O tak, już wiem. Następnego dnia ganiałem od sklepu do sklepu, z marketu do hurtowni, znowu do sklepu i na targ i do sklepu... cały dzień, przemierzyłem miasto kilkakrotnie, i co? i nic - straciłem nadzieję, uznałem, że nie mogę Tego posiadać, trzeba przetrwać. Minęło kilka smutnych dni, z kolegami poszliśmy w przerwie zjeść coś. Po mało atrakcyjnym posiłku opuszczając halę zauważyłem nieznany dla mnie sklep w rogu, na piętrze. Popędzany drobnymi iskierkami powracającej nadziei ruszyłem w tamtą stronę, wszedłem, rozejrzałem się nerwowo i znalazłem To.

Błyszczący, leciutki, stosunkowo tani, kilkunasto-litrowy, nierdzewny GAR z pojedynczym dnem, metalowymi uchwytami i pokrywką.

Michał Bekey

Na początku mojej przygody z górami marzyłam o kurtce przeciwdeszczowej. Moja mama chociaż nie pochwałała nowej pasji, to z powodu troski przed ewentualną chorobą, obiecała mi zakup outdoorowego wdzianka. Kiedy zobaczyłam moją kurtkę wiedziałam, że będziemy razem na dobre i złe - odpowiednie parametry, duże kieszenie, wzmocnione szwy, błękitny kolor. Już pierwszego dnia na rajdzie i jak się później okazało ostatnim, została poddana próbie hektolitrów wody deszczowej. Nie wytrzymała, w schronisku powiesiłam ją na kaloryferze i zeszłam na dół na wspólne śpiewanie. Kiedy wróciłam do pokoju poczułam zapach spalenizny. Łzy same zaczęły spływać po policzku, gdy okazało się, że dziury na wywietrzniki w mojej kurtce zwiększyły się dwukrotnie. Pamiętam do dnia dzisiejszego uczucie totalnej bezsilności, smutku i lęku przed rodzicami. Jednak co najważniejsze w tej historii - od razu podeszła do mnie współrajdowiczka, która powiedziała, że ma w domu nieużywaną kurtkę i mi ją odda. Tak zapamiętałam góry - jako miejsce, gdzie można spotkać bezinteresownych i wrażliwych ludzi. Historia zakończyła się dobrze, dostałam nową kurtkę, zyskałam sławę pogromczyni niedźwiedzi. Przez kilka kolejnych dni rajdu chodziłam w moim dziuraku, który ośmielał ludzi do pytania co się stało i dawał pretekst do zawiązania ciekawych znajomości.

Magda Czarnecka

Gdy patrzę na mój stary termos odżywają wspomnienia. Odkręcam jego górna część. Na srebrzącej się powierzchni mój wzrok natrafia na niewielką wypukłość. Na małą chwilę przysmykam oczy i znowu tam jestem. Pasterski szałas w Górach Godeanu. W środku pełno dymu unoszącego się z paleniska. Zjedliśmy nasz posiłek i właśnie zbieramy się w dalszą drogę. Wychodzę na zewnątrz. Wiatr wciąż dmie, ale deszcz ustał; nawet widać cośkolwiek więcej. Podchodzę do mojego plecaka. Odruchowo sięgam za szelkę. Powstrzymuję się w ostatniej chwili. Mój plecak obsiadło pięć os. Niespecjalnie dają się przegonić. Co by tu zrobić? Ale! Mam przecież w ręku kubek. Szybko i bezwzględnie rozprawiam się z nieproszonymi gośćmi waląc denkiem kubka kolejne okazy. Ostatni był blisko termosu umieszczonego w bocznej kieszeni. Owad został trafiony ale przy okazji dostało się mojemu termosowi...

Grzegorz Kaczmarek

Do trzech razy sztuka

Grzesiek Kaczmarek

Tegoroczny sierpień był bardzo gorący. Na szczęście choć część tego miesiąca mogłem spędzić w karpackiej głuszy, gdzie brak betonu oraz cień bieszczadzkiej buczyny sprawił, że sytuacja była nieco lepsza. Jak to często w wypadku mojej osoby bywa, przemierzałem rzadziej odwiedzany zakątek Bieszczadów. Jednakże tym razem pierwszy raz od dłuższego czasu nie byłem sam. Prowadziłem dwie uczestniczki mojego „prywatnego” rajdu po zachodniej części pasma granicznego w rejonie Łupkowa, skąd miałem przedostać się na Słowację i dalej aż do Tylicza.



Szlak Graniczny.

Tak jak się spodziewałem, gdy o poranku opuściliśmy gościnną „Chatę na końcu świata”, przez kilka następnych godzin na szlaku spotkaliśmy zaledwie jednego turystę. Mimo trwającej od dłuższego czasu pory suchej, gdzieś niedaleko zdarzały się błotniste fragmenty, ale dramatu nie było. Zgodnie z planem, po pewnym czasie doszliśmy do słupa I/87. I wtedy zrobiło się ciekawie... Zakładałem, że właśnie tutaj zejść niebieskim szlakiem na stronę słowacką do Medzilaborca. Gdy wieczorem dnia poprzedniego rozpytywałem o tę drogę, ludzie którzy tamtędy przechodzili mówili, że szlak jest zarośnięty. Miałem nadzieję, że nieco przesadzają ale gdy podobną opinię wyraził Patryk, gospodarz chatki w Łupkowie, świetnie znający teren, zacząłem brać pod uwagę plan B.

Mimo, że po pięciu latach intensywnego szwendania się z SKG widok chaszczy nie stanowił dla mnie sensacji,

zbaraniałem gdy dotarłem do punktu, w którym znajdowała się tabliczka z niebieskim szlakiem do Medzilaborców. Widywałem już wiele razy zarośnięte szlaki ale na coś takiego trafiłem po raz pierwszy. Zatrzymałem ekipę pod krzaczastymi leszczynami na starcie zniechęcającymi ewentualnych amatorów zagranicznej wycieczki. Z czystej ciekawości zapuściłem się w chaszcze żeby sprawdzić czy dalej jest lepiej. Nie było... Karpacki busz nie zaakceptował tej trasy i unicestwił ją stawiając na drodze krzaczory, jeżyny i inne tego typu niespodzianki. Doszedłem do wniosku, że jest to szlak tylko i wyłącznie dla „turysty hardkorysty” wyposażonego w piłę spalinową – i wróciłem do mojej grupy.



Bez maczety nie da rady.

Krótko zreferowałem sytuację i oznajmiłem, że w związku z tym korygujemy naszą trasę. Sprzeciwu nie było. ☺ Zamiast skręcić z granicy na zachód, poszliśmy nią dalej w przeciwnym kierunku. Skierowałem się ku przełęcz pod Szczołbem skąd wedle świeżutkiej mapy Compassu odchodził na Słowację żółty szlak. Dotarliśmy bez kłopotu, była nawet tabliczka z nazwą, ale po oznakowaniu nie było nawet śladu. Zbadałem otoczenie i nic! Wszystko wyglądało tak jak by nigdy go tu nie było...

Musiałem improwizować. Powiadomiłem towarzystwo o kolejnym zwrocie akcji i ruszyliśmy dalej na wschód. Tym razem koncepcja była następująca: odnaleźć słup I/79 i dalej bocznym grzbieciem, po którym rzekomo miała biec ścieżka, zejść do wsi Olšinkov. Przy wymienionym

słupku znalazłem elegancką leśną drogę biegnącą po kryształującym się grzbieciku oraz... żółty szlak, notabene fatalnie widoczny dla turysty idącego ku wschodowi. Jak widać coś jest w przysłowiu do trzech razy sztuka. Okazało się więc, że poza końcowym odcinkiem koło PKS w Olśnikowie, żółty biegnie w terenie „nieco” inaczej niż na wspomnianej mapie.

W cywilizacji dopisało nam szczęście. Nie czekaliśmy zbyt długo na autokar do Medzilaborców gdzie na spokojnie zwiedziliśmy muzeum Andy’ego Warhola. Potem dotarliśmy do jednego z najbardziej intrygujących zabytków Pogórza Laboreckiego – ruin klasztoru w Krasnym Brodzie, w pobliżu którego spaliliśmy. Mimo wszystko chyba największą atrakcją tego dnia była ręczna pompa koło ruin, dająca wysoko mineralizowaną zimną wodę.

Nazajutrz niebieskim szlakiem z Pogórza Laboreckiego przeszliśmy w Beskid Niski. Moja mapa znowu rozminęła się z rzeczywistością. Niebieski szlak okazał się w rzeczywistości zielonym. Oznakowanie i teren nie nastroczały problemów i bez kłopotu dotarliśmy do atrakcyjnego punktu widokowego na wychodni skalnej zwanej Diablim Kamieniem. Jednakże już wkrótce miało się sprawdzić kolejne znane powiedzenie: „im dalej w las tym więcej grzybów”. Szliśmy dalej grzbietem tak jak mapa i okoliczności topograficzne przykazywały, aż tu nagle rozmyła się leśna droga. Po wczorajszych sensacjach i wcześniejszych wyjazdach z serii terra incognita niezbyt mnie to zdziwiło. Sytuacja zaczęła się zmieniać mocno na naszą niekorzyść gdy natrafiliśmy na wiatrołom. Spustoszenia jakie wyrządził wiatr, mogę porównać z Sajgonem jaki pozostawił po sobie hałny w Tatrach w grudniu 2013 roku. Żeby było ciekawiej, w przeciwieństwie do Tatr tutaj niszczycielski żywioł ograniczył się właściwie tylko do zmasakrowania drzew na samym grzbiecie i w jego bezpośrednim otoczeniu. Jak na złość dokładnie tędy biegła nasza trasa. Nie widząc sensu przedzierania się przez powalone drzewa i wykroty, zdecydowałem, że zejdziemy ku widocznej w dole leśnej drodze. Tu na jednym z powalonych drzew pojawiło się na sekundę oznakowanie, tyle że czerwone a nie zielone, o niebieskim nie wspominając! Jak to często z leśnymi drogami bywa po niedługim czasie i ta rozplynęła się. Nie

było sensu powrotu na zatarasowany dorodnymi bukami grzbiet i szukania dojścia do węzła szlaków na pobliskim Klimovie. Przyjąłem strategię marszu równoległe wzdłuż grzbietu, cały czas idąc po w miarę „płaskim” terenie. Gdy zaczął on zmieniać kierunek odbiłem najbliższą dróżkę ku granicy państwowej. Igła kompasu upewniła mnie, że mój wybór był właściwy. No i udało się, zeszliśmy dokładnie tam gdzie chciałem, a opodal pięknej drewnianej cerkwi na obrzeżach Habury to nawet niebieski szlak znalazłem. ☺

W wiejskim barze czekała nas orzeźwiająca butelka zimnej wody i lody, co wobec wzmagającego się upału było rozkoszą dla podniebienia. Dalsza nasza podróż do bazy namiotowej w Jasielu jak i kilka kolejnych dni drogi do Tylicza były mniej ekstremalne, no może poza temperaturą. ☺



Niewinny początek wiatrołomu.

Zdarzały się różne ciekawe sytuacje, ale takich „hitów” jak szlak dla turystów z piłą spalinową i wiatrołom już nie uświadczyliliśmy. Między innymi dzięki tym dwóm epizodom był to jeden z moich fajniejszych wyjazdów. Opisane wyżej niespodzianki sprawiły, że podszkoliłem się w krytycznym czytaniu mapy i układaniu elastycznej trasy, która przecież zawsze może się nagle zmienić! Przy okazji odkryłem kilka ciekawych miejsc, do których mam nadzieję wrócić w przyszłym roku. ■

Beskidzki Archipelag

Grzesiek Kaczmarek

Nie chcesz jechać w Tatry? Zrobiło Ci się za ciasno w Bieszczadach? Masz schodzony Beskid Niski i Sądecki? Nie chcesz tracić zbyt dużo czasu na dojazd w góry? Rzuć okiem na okolice Krakowa. A może by tak wybrać się w rejs po „Beskidzkim Archipelagu”?

Beskid Wyspowy, bo o nim tu będzie mowa, zdecydowanie nie należy do czołówki najczęściej odwiedzanych gór Polski. Nie ma tu może pustek na szlakach, porównywalnych do ostępów dorzecza Wisłoka, ale nie zetkniecie się też z „ceprostradami”. Owo pokryte gęstą siecią szlaków pasmo ma do zaoferowania wiele punktów widokowych, na czele z wieżą na Mogielicy. Są tu również zabytki związane z historią bliższą i dalszą, jak chociażby piękny kościół w Kasinie Małej, czy też bardzo ciekawy pod wzglę-

dem architektonicznym Cmentarz Wojenny pod Limanową. Dodatkowe atrakcje stanowią przejazdy pociągiem retro oraz... szałas pasterskie. Poza kresowym Luboniem Wielkim nie występują tu schroniska PTTK, ale za to są inne obiekty turystyczne, jak np. Ośrodek pod Śnieżnicą i oczywiście masa kwater prywatnych. Po tym wstępie, którego nie mogłem sobie odmówić chciałbym Wam zaprezentować moją propozycję trasy na przedłużony weekend.

Zaczynamy od dojazdu do Krakowa skąd dotarcie w Beskid Wyspowy jest bardzo proste ze względu na dobrze rozwiniętą sieć prywatnych przewoźników. Wysiadamy na dworcu PKS w Mszanie Dolnej, skąd dalej przez Ogorzałą i Kiczorę zielonym szlakiem kierujemy się na Jasiel. Tutaj można zanoćować w pobliskim solidnym, obszernym i bardzo klimatycznym szałasie pasterskim (alternatywnie można zanoćować we wiacie na terenie nieodle-

głej bazy namiotowej „Polana Wały”). Pod Jasieniem miłośnicy ognisk znajdują specjalnie wyznaczone do tego miejsce z nadwieszonym grillem. Na wyciągnięcie ręki znajduje się źródło wody oraz całe łąny pysznych jeżyn. Polecam Wam wschód lub zachód słońca z Jasienia. Jest na co popatrzeć!

Kolejnego dnia podążając żółtym oznakowaniem wchodzimy na Mogielicę, najwyższy szczyt Beskidu Wyspowego liczący 1170 m.n.p.m. Koniecznie musicie wdrapać się na wspomnianą wyżej wieżę, naprawdę warto! No chyba że macie pecha i akurat jest mgła. ☺ Tutaj „przesiadamy się” na szlak niebieski, który doprowadzi nas na Ćwilin, a następnie przełęcz Gruszowiec (po drodze można zrobić zakupy w spożywczaku w Jurkowie). Stąd jest już rzut beretem do ośrodka pod Śnieżnicą prowadzonego przez nietuzinkowego księdza Zająca. Po męczącym zejściu z Ćwilina przed „atakem szczytowym” na wspomnianej przełęczy warto zrobić krótki postój w pobliskim barze. Ośrodek pod Śnieżnicą jest dużym obiektem z własną gastronomią i wygodami typu ciepła woda i łóżeczko. Ma pokoje o dobrym standardzie i niewygórowanych cenach. Jeżeli tylko nie idziemy w większej grupie, to właściwie o każdej porze roku można znaleźć miejsca noclegowe.

Na ostatek, po wygodnie przespanej nocy, zostawiamy sobie fragment niebieskiego szlaku, wiodący do Kasiny Wielkiej. Po zwiedzeniu tamtejszego kościółka i cmentarza wojennego, warto pominąć fragment czerwonego szlaku biegnący drogą wojewódzką i zamiast tego boczną nieoszlakowaną drogą dojść do Polany Mogiła, gdzie na pobliskim słupie energetycznym ponownie pojawi się oznakowanie. Wielkim grzechem byłoby pominięcie pobliskiego oryginalnego pomnika pancerniaków pułkownika Maczka toczących tu krwawe boje we wrześniu roku 1939. Z tego miejsca można na dwa sposoby dotrzeć do Mszany Dolnej, ostatniego punktu szkieletowanej w niniejszym artykule trasy. Stosownie do naszych sił i czasu wybieramy wariant szybszy i mniej kondycyjny, czyli przejście Czarnym Działem (szlak żółty z nieoficjalnym dojściem drogą przez

przysiółek Przymiarki), bądź wspinaczkę na Lubogoszcz (szlak czerwony). Na mecie w Mszanie nie będziecie mieli żadnego problemu ze znalezieniem przyjemnej knajpki i transportu do Krakowa.

Trasę w zależności od czynników organizacyjnych można zmodyfikować. Przykładowo da się ją sfinalizować już w Kasinie Wielkiej, skracając tym samym trasę do dwóch dni. Można też trasę wydłużyć o dwa kolejne dni maszerując na Myślenice – w tym wypadku wkraczamy już w Beskid Makowski. Niżej zamieszczam szczegółowy przebieg trasy z przeliczeniem na kilometry i GOT (dla nie wtajemniczonych wyjaśniam, że 1 GOT = ok. 15 minut).

- Dzień 1 (15 km 23 GOT)
Mszana Dolna – Ogorzała – Kiczora – Jasień (ewentualnie Polana Wały)
- Dzień 2 (14 km 23,5 GOT)
Jasień – Mogielica – **Jurków** – Ćwilin
- Dzień 3 (16 km 22,5 GOT)
Ćwilin – Przeł. Gruszowiec – Kasina Wielka – Lubogoszcz – Zapadliska – **Mszana Dolna**

Moim zdaniem w rejs najlepiej udać się jesienią, gdy góry nabierają pięknych kolorów, lub na przełomie jesieni i zimy, gdy pojawi się duża szansa na zaobserwowanie zjawiska inwersji temperatur. Wypchnięcie ciepłego powietrza w górę i opadnięcie zimnego w dół skutkuje wtedy powstaniem morza mgieł, spośród którego wystają niczym wyspy górskie szczyty. Zdarza się, że gdzieś na horyzoncie da się dojrzeć Babią Górę czy Tatry. Muszę przyznać, że do dziś wspominam właśnie taki wspaniały widok na tle zachodzącego słońca, jaki dane mi było oglądać na pewnej listopadowej kursówce kilka lat temu. Dobrze, że miałem wtedy ze sobą aparat o czym i Wy nie zapomnijcie bo kto wie może wylosujecie „szczęśliwy numer”. ■

Who the f*** is KŚM?

Karolina Witrowa

Historycznie...



Dawno dawno temu – będzie 10 lat – za czasów, które pamiętają najmłodsze z dinozaurów, zaczął się pewien specyficzny kurs przewodnicki. Zapowiadał się licznie, bo

na spotkaniach informacyjnych pojawiło się w sumie ok 100 osób (!), a ludziom chciało się angażować i nie stosowano wymówek: „nie mogę bo jutro idę do szkoły/pracy”.

W długi weekend listopadowy mnoga liczba kursantów wybrała się z instruktorami Mikołajem i Damianem na jedynie słuszną kursówkę w Beskid Sądecki. Nie byłoby w tej kursówce nic nadzwyczajnego, gdyby nie powstanie miłościwie nam jeszcze panującego ruchu zwanego we własnych kręgach Klubem Świętego Mikołaja (dalej KŚM). Nazwa rzecz jasna była nieprzypadkowa. Patronem bowiem był nie kto inny jak instruktor Mikołaj.

Personalnie...

Jak na prawdziwy Klub przystało KŚM miał w swych szeregach znaczne władze: Prezesa zwanego Preziem o wiecznej kadencji, szarą eminencję Marszałka herbu Orzechówka oraz organ, który ma zawsze najbardziej przesr... , czyli Wotrobie Zarządu zwaną także niekiedy Hrabinią, która zaśmiewała się po francusku. Istniało także Ciało Sądownicze w postaci Asi oraz Janka wraz ze swoją gitarą. Istniał cały szereg Członków-Mikołajków, których przedstawia zdjęcie „klasowe” popołnione własnoręcznie i kredkami przez Prezia:



Dla (nie)jasności od lewej w górnym, a potem dolnym rzędzie:

- Mikołaj Dakowski – patron KŚM
- Julia (Duraj) Wójtowicz – zwana Żulią lub Żulencją
- Przemek Piska – po prostu Pisak
- Alicja (Sobocka) Markowska – znana także jako Lucy
- Mariusz Muzalewski – człowiek o wielu przydom-

kach: Wentyl, Kalkulator, Dendrofil, Inspektor Prosiak...

- Dorota Zakrzewska
- Marcin Markowski – po prostu Filo
- Asia Zakrzewska
- Janek Mazur
- Marta Sitkiewicz – zwana Kulką
- Tomek Wex – czyli Wex,

- Marta Czerwiec – zwana Wontrobą
- Paweł Marciniak – znany jako Pavel
- Karolina (Nowicka) Witrowa – Karusią zwana, a Preziem wybrana
- Tomek Wojcieszuk – zwany Wojtomkiem
- Asia Skonieczna

„Zabłądzisz ze mną“

Melodia: „Zatańczysz ze mną“ Krzysia Krawczyka
Tekst: Karuś i Wontro

*Zabłądzisz ze mną jeszcze raz – ostatni raz
Nim skończy się ten jar.
Kompasu igła błysnie nam i zgaśnie nam
Jak niepotrzebna mgła –a –a –a –a aa*

Pojawiały się również inne przyczepne jednostki, które postanowiły się z owym Klubem zaprzyjaźnić, skumać i zatrzymać. Do składu Mikołajków metodą czapowania (honorowego nałożenia mikołajowej czapki) weszli Jędrrek Ochremiak, Maciej Egermeier oraz Hela, czyli Arek Kalicki. Orbitowali przy nas również Mariusz Drwał i CIAO czyli Tomek Nakielski oraz Litrowy. KŚM stanowił niejako trzon kursu, jak i solidną podstawę środowych spotkań w zapomnianej już melinie u Kitera, gdzie za miejsce spożywania chrzczonej ambrozji robił namiot typu NS, tudzież w późniejszym okresie siedziba Czarnej Mamby czyli Wierzyca (gimby nie znajo)...



Zagadkowo...



Wiele osób w SKG zastanawiało się co to jest właściwie ten KŚM... Wielu nigdy się nie dowiedziało lub zwyczajnie nie rozumiało. Każdy z Mikołajków na pewno odpowiedziałby za siebie inaczej, ale generalnie rzecz ujmując, dobrze nam było razem pod jednym hasłem i jednym tytułem. Mieliśmy swoje

czerwone czapy, własne piosenki, a nawet koszulki w kolorze „modrak”, własne logo, a wątek na starym forum klubowym nie tylko bił rekordy popularności odwiedzin, ale i ilości wpisów, a przyciągał wielu chętnych do rozmów o tak zwanym klubowym „pierdu pierdu”. Posty pisane były (czasem) wierszem, tworzyły się KŚM-owe hasła i słowniki, które niekiedy brzmiąc hermetycznie odstraszały potencjalnych rozmówców jakoby mieli konwersować z sektą oszołomów. No bo kto wiedział co to są linoleoślizgacze, nihilizm topograficzny, metoda PK spania na półce w pociągu, dlaczego pozdrawiamy się hasłem „Łem!” i dlaczego szukamy cerkwi w Miejsu Piastowym. Tylko nam inaczej kojarzył się Orbis Travel, teleranek i przebiśnieg.

Byliśmy silną grupą wzajemnej adoracji, a wewnętrzne głosy KŚM-u przebąkiwały coś o przejęciu władzy w SKG i rok po ukończeniu kursu do Zarządu SKG wpakowali się Karusia, Pavel i Eger, potem także Wex i Jędrrek

Hermetycznie...

Wiedliśmy sobie dość szalony żywot, instruktorzy mieli z nami nie lada zagwostkę, ale i zabawę. Marek podczas narciarskiej zimówki wyrwał sobie niemal resztę włosów z głowy, kiedy dwie niezależne grupy kursantów spotkały się w tym samym... jarze, przeszliśmy czterokrotnie niezdobytą dotąd Przełęcz Weroniki w okolicach Polańskiej, a z prowiantu, który na zimówkę mogliśmy taszczyć mułami pozostał nam ostatniego dnia ogarek kabanosa i pół kromki chleba. Potem było coraz

lepiej i ciekawiej – sami zorganizowaliśmy sobie kursówkę, zwaną PKWNem, którą objął swym patronatem ponownie Mikołaj, na wiosennym nie mieliśmy zamiaru oglądać XVII-wiecznych nudnych kapliczek, których w Beskidach jest „na pęczki”,

Pieśń o kursówce

Melodia: „Ukraina” Tekst: Pavel
*Gdzie płyną Popradu wody
Gdzie nie ma nigdy pogody
Z pospiesznego wysiadają
I na grzbiet od razu się udają*

*Hej, hej, hej kursanci
Zdobędziemy dzisiaj ten pipan-cik
Omijajcie szlaki, jary
- tam czekają was koszmary.*

*Hej, hej, hej kursanci
Zdobędziemy dzisiaj ten pipan-cik
Omijajcie szlaki, jary
- tam koszmary, łem, łem łem!*

*Czy to Dubne czy Piwniczna
Tylicz, Grywałd czy Bieliczna
Idą dzielnie poprzez krzole
Przedzierając się w mozole*

*Już gwiazdy na firmamencie
Oni dalej jak w obłędzie
Przyświecając czołówkami
Maszerują pipantami*

*Już niedzielne popołudnie
A na dworze wciąż paskudnie
Trzeba kończyć już wyprawę
I powracać do Warszawy*

*Żal, żal za Beskidami
Za zielonymi grzbietami*

spaliśmy w namiotach na górnym i dolnym Mokotowie, niektórzy woleli być zamkiem niż nikim, uprawialiśmy dość często spychologię, rumuning, a także obisowanie, a podle szmaty próbowały niektórym odebrać ich „fiordy nanseny”. Na letnim były ofiary nadgarstkowe, nie udało się odnaleźć mistycznej kolei, której nasypem wędrowaliśmy, nie udało się także wejść na kluczową górę wyjazdu – Pikuja. Nawet lokalna babuszka obserwująca nas na ukraińskiej stacji kolejowej skitowała nasz plan wycieczki jako „durny pljan”. Udało się za to spać w kałuży i w jeżynach po pachy, ugotować gluta z kilogramową ilością jeżyn, zwiedzić w trzy dni 80 kościołów i cerkwi we Lwowie, a w międzyczasie pobyczyć się huculskim „drzymałowie”. Zawsze jednak towarzyszyła nam głupawka i banan na twarzy.

Wypominkowo...

W tym roku świętujemy 10. rocznicę założenia KŚM-u!!! Niektórzy być może już zapomnieli o naszym wspólnym orbisowaniu, naszych burakach w krzolu, jarmagedonach i ciepluchach – ale postaraliśmy się sobie to wszystko przypomnieć. Z inicjatywy oddolnej Prezia i Marszałka zaproponowano alokację czynnika ludzkiego w środkach transportu zbiorowego i wyjazd wypominkowo-górski, na którym sobie znowu razem pojarzyliśmy bezesensu po nołnejmach, zmajstrowaliśmy bełta jak za dawnych czasów, rzuciliśmy granatem i zmokliśmy niemilosierdzie. Mimo niesfornego deszczu i dziesięciokrotnym przekraczaniu strumienia cieszyliśmy się swoim mokrym towarzystwem, a nastrój wyjazdu oddał trafnie Marszałek tymi słowami:



„W ciągu ostatniej dekady wiele się w naszych mło-

dych niegdyś życiach pozmieniał. Wielokrotnie z sentymentem wspominałem nasze stare, wspólne dobre czasy, zawsze opatrując te wspomnienia smutną klauzulą „to se ne vrati”. I choć oczywiście nic dwa razy się nie zdarza, niesamowite jest to, że udało się na te dwa dni reaktywować atmosferę sprzed lat – opary absurdu, humoru, nieokreślone głupawki i poważne rozmowy na ważne tematy – tak właśnie zapamiętałem nasze przygody sprzed dekady i w najśmielszych marzeniach nie przypuszczałem, że na tym wyjeździe uda się ten klimat tak dokładnie odwzorować.

Non omnis KŚM moriar, Łem!”

Statystycznie...

XXV kurs zaczęło około 80 osób, ukończyło 8, w tym 6 Mikołajków, w Zarządzie SKG umoczyło swe paluchy aż 5 Mikołajków. Ponadto może nie macie świadomości, ale Mikołajki nadal w Klubie działają (z różną częstotliwością) już jako instruktorzy, a jest ich 5: Paveł, Jędreć, Asia, Karusia i Wex.



Roszczeniowo...

Życzymy wszystkim Wam i każdemu z osobna takiej przygody, jaką my przeżyliśmy i jakiej echo nadal pielęgnujemy. Wyjazdy w góry były mocnym tłem dla naszej przyjaźni, choć jesteśmy zupełnie różni i najczęściej metodą głosowania próbowaliśmy dojść do różnych kompromisów. Przyjaźnie te trwają do dziś, mimo że minęło już 10 lat. Nadal czujemy w swym towarzystwie to coś, co przed dekadą. Zaświadczamy swą mikołajską krwią, że warto było wejść w ten dziwnie brzmiący Ka-eS-eM, czymkolwiek on nadal jest, ☺

W imieniu Mikołajków z KŚM (Łubu dubu) pisałam ja – Prezio Klubu, Karusia ■